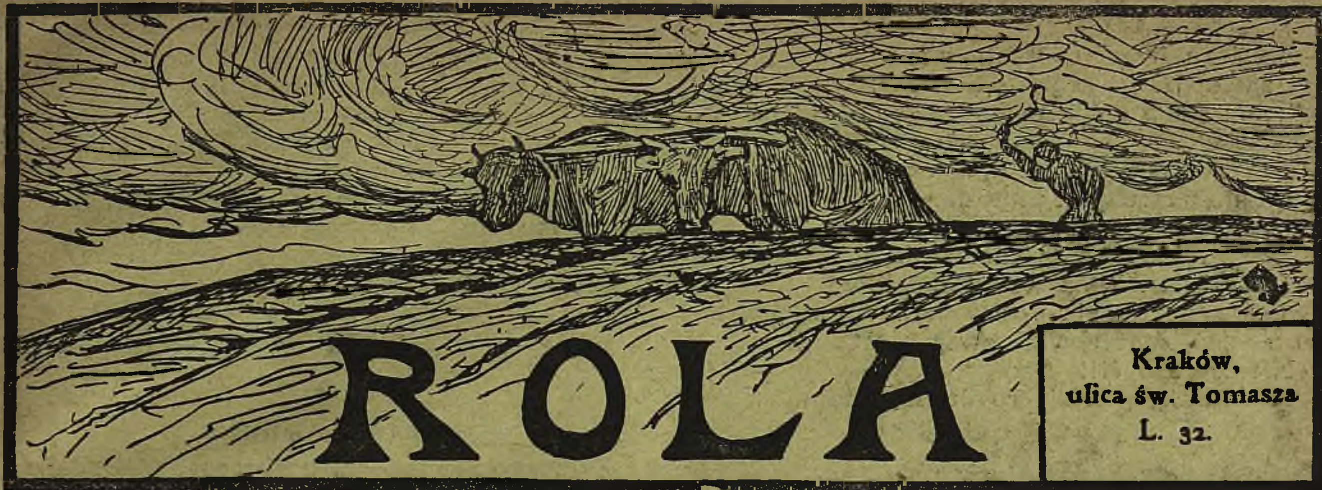
Numer 2. Należ. poczt. opł. gotówką. Dnia 10 Stycznia 1932



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Warjat.

— Musisz mieszać twój rum z gorącą wodą, inaczej ci zaszkodzi — radzi doktór staremu przyjacielowi, który nie mógł odmówić sobie czegoś na „wzmocnienie".

— E, mówisz! Ale skądże ja wezmę gorącej wody? Żona mi przecież jej nie da, skoro spostrzeże, iż ją potrzebuję do rumu...

— Powiedz wprost, że chcesz się golić.

Na drugi dzień żona wezwała doktora.

— Panie doktorze! — zawołała rozpaczliwym głosem. — Mój mąż pewnie zwarjował!...

— Nie może być!!!

— Ależ tak!... goli się co dziesięć minut!...



W sądzie.

— Połamała pani krzesło na plecach męża — rzekł sędzia do oskarżonej herod-baby.

— Tak, panie sędzio, ale stało się to przypadkowo.

— A więc nie zamierzała pani bić męża?

— Zamierzałam go wytłuc, ale nie miałam zamiaru łamać krzesła.



Opinja.

— Jak się pani podoba mój sposób tańczenia?

— Aach!

— Jak pani to rozumie?

— Pan musi być znakomitym footbalistą.

Nie można narzekać!

— Gdzie się pan tak długo obracał?

— Byłem u bolszewików w Rosji.

— I jakże tam? Dobrze?

— No, nie można narzekać.

— A więc jest tam dobrze.

— Owszem, jest bardzo źle, ale narzekać nie można, bo grozi za to rozstrzelanie.



Dla kogo miód?

Zapytano pewnego razu Demona, filozofa rzymskiego za czasów Marka Aureljusza, czy wypada mędrcowi jadać słodycze, jak ciastka i konfitury, które w owej epoce przyrządzano z miodem.

— Czemuż nie? — odrzekł filozof — czy sądzicie, że pszczoły robią miód tylko dla głupców?...



Jeśli wejdziesz między wrony...

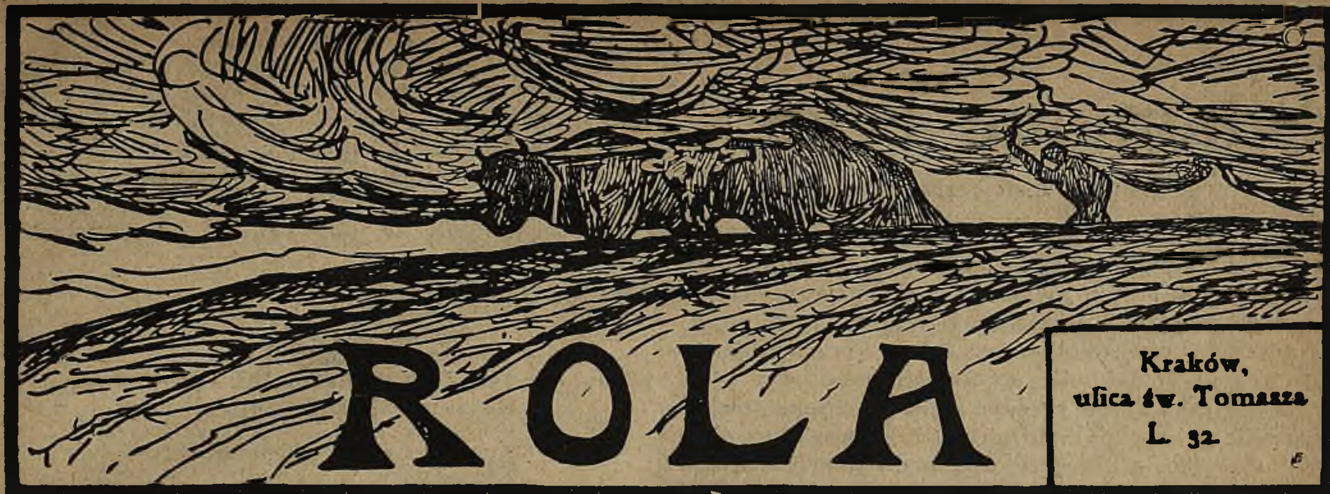
Pewien pan opowiadał w towarzystwie, że potrafi zawsze przystosować się do swego otoczenia.

— W towarzystwie filozofów — powiada — jestem filozofem, kupców kupcem, rolników rolnikiem, sportowców sportowcem...

A w towarzystwie durniów? — zapytuje jeden z obecnych...

— Nie wiem, bo mi się to zdarza poraz pierwszy.

Nr. 2. Rok XV. Kraków, dnia 10 stycznia 1932.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1932: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Gwiazda Trzech Króli.

Że narodzi się Jezus Chrystus, który odkupi świat z niewoli szatana, wiedziano o tem na setki lat przed Jego narodzeniem. Przepowiadali to prorocy, pisały o tem księgi święte. Przepowiednie te były tak dokładne, że niemal można było oznaczyć miejsce, gdzie przyjdzie na świat Pan tego świata i Zbawca ludzkości. Inna rzecz, że nie wszyscy dokładnie je rozumieli, a przez to i błędnie tłomaczyli. Naprzykład taki król Herod, który drżał o swą władzę, wyobrażał sobie, że Pan Jezus przyjdzie jako mocarz według rozumienia ludzkiego, że zgromadzi około siebie wojsko, jego zrzuci z tronu, a sam w przyszłości zawojuje świat cały.

Bał się Herod, bali się i ci wszyscy, którzy jakąkolwiek władzę wówczas dzierżyli w tych stronach, gdzie się miał narodzić Pan Jezus. Oczekiwali Go natomiast wszyscy uciśnieni, gdyż spodziewali się, że kimkolwiek będzie ten Mesjasz, to po przyjściu Jego na świat im nie będzie gorzej, ale lepiej, bo gorzej im już być nie mogło. Ale i ci nie przypuszczali, aby Pan Jezus narodził się w ubogiej stajence, aby głosił później królestwo, ale nie królestwo w rozumieniu ludzkiem, ale wielkie Królestwo Boże.

Dla tych właśnie rzesz biednych, a nieuczonych trzeba było potwierdzenia wielkiego zdarzenia przez ludzi uczonych, przez ludzi możnych tego świata. Do tego celu Bóg wybrał trzech mędrców Wschodu, których my również królami nazywamy. Dał im znak w postaci jasnej gwiazdy, że Ten, który miał przyjść na świat, już się narodził w stajence betleemskiej, a oni winni Mu złożyć hołd i stwierdzić przed światem, że jest On oczekiwanym Mesjaszem, który zstąpił z nieba, aby do tego nieba ludzkość całą poprowadzić.

Mędrcy świata, monarchowie, jak głosi kolenda, poszli za gwiazdą przewodnią, aby pokłonić się Bogu-Człowiekowi, w ubogiej stajence zrodzonemu.

Gwiazda Trzech Króli posuwała się od wschodu ku zachodowi, a oni szli za nią.

Zatrzymała się najpierw nad pałacem Heroda, więc też tam wstąpili święci wędrowcy. Zdawało się im, że tu znajdą Pana nad pany i Króla królów. Tam Go jednak nie było! Tam był tylko Herod, który, dowiedziawszy się o przyjściu na świat Pana Jezusa, zapałał ku Niemu ogromną złością i postanowił Go zgładzić.

Gwiazda po chwilowym postoju popłynęła dalej ku zachodowi, a za nią ruszyli Trzej Monarchowie. I znów się zatrzymała, ale tym razem już nie nad pałacem królewskim, ale nad ubożuchną stajenką, gdzie na sianku spoczywała maleńka Boża Dziecina. Trzej Królowie, znając dobrze przepowiednie o przyjściu na świat Pana Jezusa, nie dziwili się temu. Prawdopodobnie w myślach swych przypomnieli sobie wszystko, co święci prorocy o narodzeniu Pana Jezusa głosili, a stwierdziwszy, że wszystko jest tak, jak było przepowiedziane, złożyli hołd świętej Dziecinie, składając Jej w darze mirę, kadzidło i złoto.

Za przykładem trzech świętych mężów poszła miejscowa biedota, tamtejsi pasterze, ofiarował każdy, co mógł, a więc ten barana, ów serek, a inny drobiazg jakiś, który był nieraz całym jego majątkiem.

Ponieważ pierwsi Trzej Królowie stwierdzili Boskość Pana Jezusa i pierwsi hołd Mu oddali, więc też i my Im pierwszym zaraz po Bożem Narodzeniu hołd oddajemy w dniu 6 stycznia każdego roku.

MARJA WALLER.

„Stłumione echa“.

Powieść historyczna. (Przedruk wzbroniony).

Żarty i śmiechy krzyżowały się, budząc spiące echa, które potęgowały dźwięki, niosąc je hen, aż pod kopuły stuletnich świerków i modrzewi, niepokojąc skrzydlatych mieszkańców podniebnych osad.

Nadciągła wreszcie ponura, jak noc bezgraniczna, Jarucha, usadowiła się na trójnogu, a z płachty, przyniesionej na plecach, jęła wyciągać liczne zawiniątka, pełne ziół różnorakich, proszków nieznanych laikom, a przeznaczonych do wróżb. Wkońcu wyjęła naczynie gliniane w kształcie urny i ustawiła je u swych nóg. Nie witała nikogo, nie zamieniła z nikim ani słowa, lecz nie dziwiono się temu zbytnio, bo stara słynęła z dziwactw.

— Babka twoja Sławo! — rzekła milutka Radosława, trącając w bok zamyśloną dziewczynę.

Sława skoczyła ku starej, chwytając pod nogi.

Jarucha pogładziła po głowie ukochaną wnukę, nie zdobyła się jednak nawet na uśmiech dla niej. Sława usunęła się zmrożona chłodem.

Źle jej dziś było czegoś. Spokój jej został zmącony... Nie mogła zrozumieć czego jej brakuje, jednak myśl wracała uparcie do wydarzeń wczorajszych, do tych dwu obcych...

I znów poraz setny może ujrzała miłą, pociągającą twarz tego, który staremu władyce śmiał hardo przeciwstawić się...

Złość czuła chwilami do samej siebie za myśli niesforne, ale te wracały wciąż, uparcie... Tłumaczyła sobie, że to uczucie nienawiści do obcych, każe jej myśleć o nich... Czasem znów ogarniał ją lęk przed czemś, co szło ku niej i brała ją w posiadanie siłą, a przemoc ta luba była jakaś i nie przykra, o nic!...

Dziewczęta, widząc jej zamyślenie, starały się ją rozruszać, prześcigały się w figlach i żartach — daremnie. Sława przykładała raz po raz rękę do czoła, jakby odegnać chciała przykrą myśl.

— Co ci to Sławo? Głowa cię boli? Chodź do starej — okadzi! — troskała się drobniutka, do figurynki porcelanowej podobna Bożenka.

— Nie nic! Tylko tak mi jakoś, jakby mnie coś złego miało spotkać!

— Coś złego? Ciebie!? Tfu! nie wywołuj licha — wołała dorodna, jak łania, Mira.

— Wiesz, co cię spotka? — ciągnęła dalej nosowym, uroczystym tonem, naśladując wcale udatnie głos Jaruchy. — Oto na Kupale wianek twój porwie najurodziwszy i najbogatszy! Potem posadzi cię na koń, w ramionach utuli, usta zamknie pocałunkiem i zawiezie w dom swój, bo tak każe stary obyczaj!

Sława żachnęła się niecierpliwie — krwisty rumieniec zalał jej czoło aż po korzonki włosów — bo oto zamarzyły się jej usta pąsowe ocienione młodzieńczym puszkiem i oczy dumne — dalekie i obce.

Chcąc ukryć zmięszanie, odwróciła się w stronę strumienia, skąd dochodził pisk, wrzask i rwetes. Aż się roiło od jasnych główek! Poprzez strugi chłodnej wody migotały niekiedy noski posiniałe, ramionka szczupłe i świecące ślepka ruchliwej czeredy. Krople wody rozpryskiwały się daleko, budząc świeże protesty i podniecając walkę, na mokrą broń! Aż kotłowało od natarczywej ofensywy, a wrzaski głuszyły rozmowę starszych.

Wreszcie nadciągły i kapłanki niosące ostrożnie ogień. Powitano je okrzykami i zabrano się z zapałem do zapalania sobótek. Płomień zaczął lizać zielone gałązki jedliny, skręcając je z sykiem i trzaskiem. Rozżarzone do czerwoności szpilki układały się w prześliczne wzory i arabeski, a od czasu do czasu wystrzelała w górę rakieta ognistych kulek jałowcu.

Płoną sobótek ogniska
w kupalną noc!
Ucieka hen za urwiska
Złowroga moc!

popłynęło radośnie z niefrasobliwych piersi.

Kwiat szczęścia zdobędzie śmiały
Kochanek twój — nocy czarów.
Kwiat szczęścia wiecznotrwały
Zdobędzie w noc Kupały
kochanek twój.

odpowiedziała z drugiej strony gromada młodych zuchów, pewnych siebie i sił i szczęścia i mocy swej modzieńczej. I wraz rozprzęgły się popisy: najzręczniejsi, rozpędziwszy się, przesadzali płonące ogniska, inni pomagali sobie kijem. Radość zapanowała wszechwładnie. Oklaski towarzyszyły fortunnym skokom, śmiechem i drwinami witano mniej udolne. Niejeden i nogi nieźle opiekł, mniej zręczny i czuprynę osmalił, wszystko to jednak nie psuło ogólnej wesołości.

Podniecona młodzież próbowała celności strzałów z łuków, rzucano oszczepami, kamiennemi nożami, wdrapywano się na niebotyczne drzewa, słowem popisywali się, czem kto mógł, zbierając laury w postaci gorących spojrzeń i okrzyków zachwytu z lubych ust. Z tem wszystkiem mieszały się śpiewy gęślarzy, dźwięki fafajek i liry, oraz przeraźliwe ryki bydła, przepędzanego przez ogień. Ogłupiałe przestraszone czworonogi, zmuszano biciem i krzykiem do przeskoków, pokonując opór ich z niemałym trudem.

Ogień bowiem, jako siła czyszcząca, posiadał moc wielką: bronił od chorób, niszczył siły nieczyste, krążące wokół swych ofiar — tak ludzkich, jak i zwierzęcych i czyhające na odpowiedni moment, aby pokonać słabe chwilowo siły żywotne.

Starszyzna przyglądała się pobłażliwie zabawom młodych, cedząc zwolna kropla po kropli wonny miód, a obzierając się kiedy niekiedy w stronę, skąd nadejść powinien orszak Leliwy.

I nietylko ludzie hałasowali zawzięcie: Stali mieszkańcy dębu, zaniepokojeni o los swych maleństw, ćwierkali krzykliwie a trwożnie. Matki labidziły żałośnie i użalały się do sąsiadek, zapominając niedawnych kłótni i niesnasek.

— Ojoj! Ojoj! co będzie z nami! Coraz goręcej coraz wyżej bucha ten błyszczący świecący kwiat! Ojoj źle! Dzieci! Dzieci! Dzieci! Ćwir! Cir, Cir... — pojękiwały boleśnie.

Nawet i płochliwa wiewiórka wychyliła się z dziupli, badając przyczynę niezwykłego hałasu. Świecące paciorki ocząt błysnęły ku łące raz i drugi, ruda kitka zachwiała się poważnie nad maleńką główką. Przetarła oczka kosmatą łapką, dziwując się nad miarę:

— Słońce ściągli na ziemię, czy co?

Ponieważ jednak domek jej leżał dość daleko od terenu objętego owem niezwykłem działaniem, wróciła doń niebawem — myśląc rozważnie:

— Zawsze lepiej nie wkładać noska do cudzych orzechów!

Nigdy niesyte wrony, przelatywały, kracząc przeraźliwie — całemi stadami, a łyskając łakomie

ślepiami, śledziły ruchy ludzi na polanie, gotowe zawsze do uczty o każdej porze dnia.

Z głębi boru odzywało się przeraźliwe: Uhu!

To stary puhacz, oślepły blaskiem przedzierającym się przez korony drzew, stracił orjentację astronomiczną...

— Dzień się skończył, a dzień jest! A powinna być noc, bo głodny jestem aż hej! Cobyto takiego?! Uhu, hu, hu! — nawoływał w nadziei, że znajdzie się ktoś, kto mu tę zawiłość wyjaśni.

Skądeś tam odpowiedziało mu strwożone: kuku, kuku!

Także co! gdzieżby on się z takimi wyrzutkami w rozprawy wdawał! On! król nocy! A to dobre! Uhu!

— Chociaż... możeby spróbować?

— Hej ty tam! sikorzy podrzutku! Co się to wyprawia na dole? — zapytał dumnie, od niechcenia.

— Nie wiem, panie! ale pofrunę i obaczę — rzekła z gotowością i choć serduszko biło jej od strachu mocno, przelatywała z gałęzi na gałąź, skradając się aż na skraj lasu.

Minęła przydługa chwila, gdy wróciła, drżąc cała.

— Nie wiem, panie! Coś się tam dzieję strasznego, bo i dzióby otwierają szerzej niż zwykle, a skaczą, drąc się, całkiem jak te grabarze nieczyste, wrony! Może na wyraj ruszają, abo co? — meldowała cicho.

Puhacz zamrotał coś niechętnie i nie podziękowawszy nawet, wsunął się do swej dziupli.

— Trzeba będzie dziś obejść się smakiem — pomyślał i westchnął, bo kiszki po ostatniej zeszłorocznej uczcie grały mu marsza niemiłosiernie.

Tymczasem na polanie aż kipiało życiem. Już się i młodym co niektóremu z czupryny zaczynało kurzyć; nietyle może od miodu ukradkiem łykniętego, ile od tych wejrzeń niewieścich, słodkich a upalnych, od przyśpiewek rubasznych nieco, ale pełnych życia i bujnej radości, a najwięcej może od onego zbliżenia dwóch płci, oddzielonych kiedyindziej skromnością obyczajów i wiekową tradycją.

Niektórzy, co gorętsi a śmielsi, obces ku dziewkom pomykać poczęli, rozbijając gromadki, łapiąc ofiary nierade niby i płochliwe i garnąc się do ust krasnych, uciekających niby, a wabiących...

Dorodna postać Miły objęły ramiona Leszka, który niedawno powrócił z lasu.

— Pozwalasz chwytać wianek? — pytał, chyląc nad nią piękną twarz.

Miła nie odpowiedziała zrazu, bo oświadczenie Leszka spadło na nią niespodzianie. Dawno już łączyli ludzie imię jego z imieniem Sławy, jako że najurodziwszy był i najbogatszy.

— Nie mówisz nic? Możeś mi nierada? — dodał z widocznym smutkiem.

— Chwytaj — odszepnęła — ten z płonących maków, to mój!

Chłopak przyciągnął ją do siebie, jak burza, porwał z ziemi jak piórko i uniósł w las, jak jastrząb zdobycz!

Dziewczęta, jakby na umówione hasło, zaczęły gromadzić się nad strumieniem. Wnet i wianki płynęły po wodzie, znacząc jasną płonącą smugę na ciemnem tle wody. Łuczywo, umieszczone w środku, płonęło żywo, jako te myśli i marzenia dziewczęce, tajone na dnie serca.

Równocześnie kilka zgrabnych łódek wychyliło się zza drzew, ścigając płomiennych wysłańców.

Miła, która z niemałym trudem wymknęła się z ramion natarczywego Leszka, śledziła teraz za nim. Ścigał zawzięcie płomienne maki najpierwszy i najzgrabniejszy...

— A ty Sławo, dlaczego nie rzuciłaś swego?

— Jakoś nie miałam ochoty! — odparła zapytana, rumieniąc się lekko.

Nie ochoty jej brakło! Oj nie! Ale kto miał go chwytać?

Ci? — spojrzała po uganiających w łódkach hybkich młodzieńczych postaciach.

Ani jeden nie był jej milszy od innych. Lubiła ich serdecznie, ale pozatem nic więcej. Nie małżeństwo jej widać sądzone, a służba w gontynie — do śmierci. Nie z przekonania, nie z umiłowania, lecz z konieczności...

Jakież dalekie są jej myśli od powszednich zmartwień tej gromadki dziewcząt, śledzących teraz z zapartym oddechem swe losy... Ot Radosława płacze rzewnie na widok wianka, który pogrążył się w falach strumienia i znikł... Wróży to śmierć lub staropanieństwo... Oboje straszne — które lepsze, wybrać trudno!

Sława spojrzała po każdej: wszędzie jedna myśl, jedna troska: szczęśliwe umieszczenie swej osoby!

Odwróciła się z niechęcią i skierowała się w stronę dębu, przy którym zbiła się teraz większa gromadka osób.

Zwarte koło ciekawych płci obojga otoczyło starą Jaruchę, siedzącą na trójnogu. W glinianem naczyniu żarzył się ogień, a jedna z kapłanek, siedzących obok niej, wsypywała na żar odrobinę jakichś ziół, startych na proszek. Wtedy kłęby dymu unosiły się w górę, a woń dziwna rozchodziła się po polanie. Zwykle stara wdychała w siebie dym, a z ust jej wydobywały się słowa dziwne, oderwane, których obecni słuchali z namaszczeniem, zaprawionem strachem, grozą lub radością, zależnie od treści.

Dziś twarz jej zmięta w tysiące zmarszczek, bledsza była, niż zwykle. Oczy okolone cieniami, przepaściste zwykle i palące, tkwiły dziś gdzieś w przestrzeni, osłupiałe, niewidzące, jakby zwrócone w głąb swej duszy.

Lęk przejął niewiasty stateczne, dreszcze złych przeczuć przenikały pierś mężów dzielnych: wróżb dziś nie było. Nikt nie odważył się budzić starej z jej dziwnego odrętwienia.

Znów świeże kłęby dymu, o dziwnym zapachu otoczyły jej postać, jakby obłokiem, usta poszerzyły się bezdźwięcznie — raz i drugi, wkońcu z ust jej wyszedł szept cichy, lecz wyraźny:

— Widzę!

Gromadka, otaczająca starą, zakołysała się i zatrzymała w bezruchu oczekiwania.

— Widzę ich... idą... już są blisko... Koło nich czerwono... Żar ognia i fale krwi... o patrzcie płynie... ucieka z nią Ból, Nienawiść, Rozpacz, Żal... rozleciały się, jak czarne kruki i czyhają, gdzieby się wślizgnąć... O tam, patrzcie, płonie stos... wysoki... o tak... wysoki... wedle rodu... swoja krew... jedna krew... Słońce we krwi, a ziemia w płomieniach... choć zwycięzcą On! krew... dalej krew... oh! biada nam, biada!!!

Ostatnie słowa starej przeszły niemal w krzyk. Na polanie zrobiło się strasznie. Porzucono pląsy gromadząc się koło wróżki, opartej bezsilnie na ramionach kapłanek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ugoda małżeńska.

(Humoreska).

Marysia była sobie skrzętną i zapobiegliwą kobiecinką, ale dla męża Jaśka trochę za surowa. Owszem była słodką jak miód, ale kierowała mężem według swej woli. Marysia łasić się umiała, jak kotka i życzenia swoje wypowiadać tak serdecznemi, tak ujmującemi słowy, że Jasiek wkońcu czuł się szczęśliwy.

I tak nieraz powiadała:

— Mój Jaśku, gdybyś się odzwyczaił od tego i od tego, to jakbym cię za to lubiła.

A Jasiek wówczas odpowiadał:

— Wiesz, Maryś, już sam nad tem myślałem, a zapomniałem. Dziękuję ci, żeś mi przypomniała.

W ten sposób uzyskała już Marysia na swoim Jaśku niezmiernie wiele. Przestał pić wódkę, piwo, a nawet wino, na karty ani patrzyć nie chciał i nie pluł na podłogę, ale do spluwaczki i t. d. i t. d. Teraz nie wiedział, od czegoby go jego kobieta odzwyczaić mogła. Chyba od jedzenia. Ale nie. Jeść Maryś pozwoliła do woli. Coś innego ją niepokoiło, mianowicie fajka z tytoniem i ten śmierdzący dym z fajki był dla niej coraz wstrętniejszy.

Wszystkie przymówki żony co do fajki puszczał Jasiek mimo uszu; nie chciał zrozumieć wcale, o co jej chodzi.

Jednego dnia Marysia rzekła:

— Jaśku ty tak źle wyglądasz, boję się, że dostaniesz suchót.

— Jeszczem się nigdy nie czuł taki zdrowy, jak dzisiejszego dnia — odpowiedział Jasiek, a po chwili dodał:

— Maryś, ja ci mówić nie chciałem, ale ty także źle wyglądasz. Takaś blada, aż żółta. Jużem się wybierał do Kalwarji do Matki Boskiej Cudownej, żeby chorobę odwróciła od ciebie.

Zastanowiła się kobieta na taką odpowiedzią; na którą Jasiek nie zdobył się jeszcze nigdy.

Po chwili rozpoczęła znowu:

— Wiesz, Jaśku, ja mam prośbę do ciebie, nie odmówisz mi?

— Z pewnością nie — odrzekł mąż, ale i ja mam prośbę do ciebie, ty mi ją musisz również spełnić.

— Przysięgam ci! — rzekła Marysia uroczyście.

— Powiedzże teraz — pytał Jasiek — o co mnie chcesz prosić?

— Jaśku, — mówiła żona — daruj mi twoją fajkę z tytoniem, ja się obawiam, że z palenia dostaniesz suchot.

— Ależ z całego serca, Marysiu Czemużeś wcześniej tego nie powiedziała — odpowiada mąż.

— To nie będziesz więcej palił Jaśku co? — pyta uradowana Marysia.

— Ani razu nie pociągnę!

— Tyś moje dobre mężysko!

— Ale i ty, kochana żonko, podarujesz mi twoją puszkę z kawą i młynek do mielenia? Kawa zjada krew i obawiam się, że sprowadzisz sobie suchoty.

Zaczerwieniła się kobieta, ale wstyd ją było cofnąć dane słowo, odpowiedziała więc pospiesznie:

— Jak najchętniej, mój Jaśku.

— I nie będziesz piła więcej kawy? — pytał Jasiek.

— Ani naparstka — odrzekła Marysia.

I tak zawarli ugodę. Marysia zamkła fajkę z tytoniem, a Jasiek zamknął wszystko, co było potrzebne do przyrządzenia kawy.

Rozpoczęły się teraz dla obojga smutne czasy. Po dwóch dniach byliby rozwiązali ugodę, ale żadne nie chciało zrobić pierwszego kroku. Po tygodniu już nie mówili do siebie i oboje spoglądali na siebie, jak kot na psa. Po dwóch tygodniach Jasiek wyglądał, jak wielki piątek, a Marysia jak rozpacz wcielona.

Pewnego dnia, gdy tak milcząc, bez słowa siedzieli w kuchni oboje, Jasiek wstał nagle, poszedł do komory i... przyniósł wszystkie przyrządy do kawy. Kobieta zrobiła wielkie oczy, ale Jasiek, nie rzekłszy i słówka, rozniecił ogień i począł gotować kawę. Marysia wciągała z rozkoszą zapach kawy. Ale to jej nie wystarczało. Pyta więc męża:

— Cóż ty tam robisz?

— A kawę — odpowiada Jasiek.

— Dla kogo?

— Dla siebie. Ty jej przecież pić nie możesz.

— Ani ty!

— Ocho, a to dlaczego?

— Mnie tylko palić nie wolno.

Umilkli oboje.

Jasiek z rozkoszą popija kawę, a Marysia odprowadza oczyma każdą łyżkę do ust męża i porusza nozdrzami, jak ryba z wody wyjęta.

Po chwili pyta Jasiek:

— Maryś, może i ty się napijesz?

— Broń Boże — wzdycha żona. — Nie mogę znieść ani zapachu kawy!

Jasiek popijał jeszcze z większym smakiem, aż przymlaskiwał językiem. Marysia, niewiele myśląc, pobiegła do komory przyniosła fajkę, nałożyła tytoniu, zapaliła ją i poczęła pykać dym, jak huzar.

Teraz mąż poczuł męki niezmierne, starał się pochwycić nosem każdą chmurkę dymu.

Wkrótce spytała Marysia:

— Możebyś i ty jedną wypalił?

— Dziękuję ci — odparł Jasiek — mdłości mnie biorą, gdy tylko pomyślę o paleniu!

Marysia wnet zbladła, jak ściana, fajka wypadła jej z ręki, a ona ze stołka zsunęła się na ziemię. Zerwał się Jasiek z przestrachu i poniósł ją do łóżka. Tam jęcząc, wiła się, jakby wybiła dla niej ostatnia godzina. A Jasiek krzyczał wciąż przerażony:

— Maryś, co ci to? Zawołać doktora? Posłać może po księdza?

Wtem przysła mu do głowy myśl zbawcza. Pobiegł do kuchni i przyniósł garnuszek kawy. Żona pozwoliła sobie wlewać do ust wonny napój, a po chwili zapadła w sen głęboki.

Gdy się przebudziła, prosiła go o drugi garnuszek kawy, a wypiwszy go, czuła się już rzeźką i zdrową. Jasiek poszedł do kuchni i nałożył sobie fajkę. Gdy już kończył palić, nadchodzi żona i śmiejąc się, powiada:

— Alem też głupia, jak gęś!

— I ze mnie wielki osioł — dodał Jasiek. — Wiesz co, napij się jeszcze kawy.

Marysia wypiła znowu garnuszek, a Jasiek nałożył sobie drugą fajkę i dymił, jak lokomotywa. Starą ugodę zniweczono, a zawarto nową, na mocy której musiała Marysia wypić codziennie trzy garnuszki kawy, a Jasiek wypalić sześć fajek.

Tej ugodzie pozostali wiernymi aż do śmierci.

Czesław Skwarczyński.

Przygoda lisa.



Już niejednokrotnie pisaliśmy w „Roli" o przebiegłości lisa, zaznaczając, iż nadzwyczaj trudno upolować to przezorne zwierzę. Lis potrafi tak uchodzić przed myśliwym, że ten niejednokrotnie rezygnuje z jego puszystej skórki, zadowalając się mniej ostrożnemi zającami.

Ci, którzy brali udział w polowaniu czy to jako myśliwi, czy w nagonce, wiedzą, że wystraszony lis nigdy nie ucieka w kierunku strzelców, ale gdy go nagonka otoczy, rzuca się w kierunku tejże nagonki, przebija się przez jej pierścień i uchodzi w bezpieczne miejsce. A tymczasem głupie zające pędzą wprost na myśliwych i padają pod ich strzałami.

Do nadzwyczaj rzadkich wypadków należy podejście lisa w lesie lub polu. Z gołą ręką można go nieraz spotkać, ale gdy człowiek posiada przy sobie broń palną, lis, obdarzony doskonałym węchem, uchodzi zawczasu, aby się nie narazić na przykrość dostania kulką w łeb.

Jeszcze najłatwiej upolować lisa w jamie, choć i tam ma on swoje zabezpieczenia. Jest on do tego stopnia ostrożny, że przeważnie do swojego legowiska w ziemi robi sobie dwa otwory; jeżeli więc człowiek odkryje jeden z nich i odkopuje go, aby dosięgnąć lisa, ten drugim uchodzi bezpiecznie. Czasem robi sobie trzy i cztery takie bezpieczniki. W takim razie trzeba wszystkie te tunele wyszukać, wyloty ich zabezpieczyć, a wówczas dopiero ujęcie lisa jest możliwe. Wymaga to jednak dużo zachodu, a niejednokrotnie zawodzi, gdyż lis, przekonawszy się, że siedlisko jego nie jest już tajemnicą, wyszukuje sobie w nocy inne schronienie i tam przenosi całą swoją rodzinę.

Wprawdzie lis jest bardzo mądry, ale przecież człowiek jeszcze mądrzejszy. Potrafi też więc wyszukiwać takie sposoby, których lis przewidzieć nie może, pada więc wkońcu ofiarą swojej nieostrożności. Do takich należą rozmaite łapki, czyli tak zwane paści. Jedną z nich widzimy na naszym obrazku. Są to silne i ostre żelaza, dobrze przymocowane do ziemi. Są one zrobione tak, że można je rozłożyć na ziemi jakby jakieś koło. Ale dwa półkola tej łapki łączy czuła sprężyna, której pociśnięcie sprawia, że obydwa półkola łączą się momentalnie ze sobą, ściskając silnie to, coby się pomiędzy nimi znalazło. Zwykle w śnieżystą zimę myśliwi rozkładają takie łapki gdzieś w lesie. Na sprężynie układają kawałek wonnej słoniny i odchodzą. Lis, poczuwszy ponętny przysmaczek, a nie mając innego pożywienia „pod ręką", skrada się ostrożnie ku słonince. Kołuje długo i bada sytuację. Oszukany ciszą i spokojem wokoło, podchodzi ku łapce i próbuje ostrożnie porwać smaczny kąsek, ale wtedy jest już zapóźno: poruszona sprężyna odskakuje momentalnie, żelazne półkola łączą się ze sobą, ściskając silnie kark nieszczęśliwego zwierzęcia.

Lis próbuje się uwolnić z niewygodnego położenia, ale to nic nie pomaga, gdyż wskutek jego sza-

motań się żelaza jeszcze silniej się zaciskają i wkońcu duszą swoją zdobycz. Myśliwy, kontrolując pozastawiane łapki, spostrzega swoją zdobycz, zabiera ją, a łapki przyrządza znów tak, aby były gotowe na przyjęcie nowej ofiary.

Chwilę złowienia się lisa w łapkę widzimy właśnie na naszym obrazku. Szamoce się biedak w ostrych żelazach, ale napróżno! Drugi jego towarzysz, a może towarzyszka, zobaczywszy, co się dzieje, zmyka co sił w nogach, aby nie pójść w ślady tego, który chęć pokosztowania smacznej słoninki przepłaca w tej chwili właśnie życiem.



MACIEK BZDURA GADA:

Nas jegomość chcieli se w mieście na jarmaku załatwić parę sprawunków, a ze ni mają własnej kubity, którаby ich w tem wyręcyła, ani własnej śkapy, któraby ich na jarmak zaciągnęła, przeto udali się do Bartka Furgaca z prośbą, aby z niemi na jarmak pojechał. Obiecali mu, ze jak pomrze, to go zabezdurno urocyście pochowają.

Bartek ucіesył się bardzo, coprawda nie tem, ze będzie wiózł jegomościa zadurno do miasta, ale tem, ze i sam będzie mógł być na jarmaku, na co inacej nie byłby dostał przepustki od własnej kubity.

Pojechali tedy, a ze na świecie było paskudnie, tak jegomość w mieście chcieli się nieco oporządzić. Trudno było na ulicy portki scotką cesać i w dyscówce poświącaną gębę myć, więc umyślili se, coby dobrze było wstąpić do gospody i tam się trochę ochędożyć. Kazali więc Bartkowi pilnować śkapiąt, a sami prosili zydka-właściciela o jaki pokoik. Ale ze to był dzień targowy, a zyd ni miał więcej ino jeden pokoik, więc zydek nie wiedział, co ma pocąć, zwłasca ze i ten jeden pokoik zajmował juz rabin-cudotwórca z sąsiedniego miastecka. Icuś, właściciel gospody, miał jednak ochotę zarobić parę złotych, więc zaproponował jegomości, zeby się umieścili razem z rabinem. Widząc jednak, ze się jegomość ociągają i nie mają wielkiej chęci do zadnych spółek z rabinem, tak powiada:

— Ny, lacego ksząszcz nie chce, lacego gardzić? Przeciez to nie jest zwycajny zyd z pejsem, ale to jest rabin, to takze osobe całkiem duchowne, cobym ja zdrów buł!...

I tak długo molestował i namawiał, ze ostatecnie jegomość zgodzili się na jego propozycję. Uradowany zydek skocył prędko do pokoju rabina, azeby go uprzedzić i po krótkiej chwili siedzieli jegomość w pokoiku i gawędzili z rabinem, popijając herbatę. Obgadawszy cały świat, jak dwie psiwólcańskie kumoski rodzoną wieś, nie wiada kiedy, prześli na rozmowę o religji. Jegomość swoje, a rabin swoje. Ten powiada: moja wiara dobra, a ten mówi: moja jesce lepsa. Jegomość, widząc, ze z zydowskim rabinem nie przyjdą do końca, opuścili pokój i udali się na sprawunki.

Załatwiwszy wszyćkie jenteresa w mieście, kazali jegomość sykować Bartkowi śkapy do powrotu. Bartek jednak nie spiesył się, gdyz gryzło go coś za kołnirzem, bo widział, ze jegomości jakoś nie całkiem dobrze posło z rabinem. Wreście nie wytrzymał i powiada:

— Pewnikiem jegomości cosik niedobrego się stało, ze taki je nieswój?

— E głupstwo — odrzekli jegomość — ino mnie ten rabin zirytował swojem gadaniem, ze zydowska wiara lepsa od nasej.

— Olaboga — wrzasnął Bartek, jakby go kto ze skóry obdzierał. — Olaboga! Zydowska wiara ma być lepsa od nasej? I jegomość nie sprali go na kwaśne jabko za takie gadanie? Nie? To ja mu to zrobię — rzekł, wywijając bicyskiem.

I nim jegomość się spostrzegli, walił juz Bartek pięścią do pokoju rabina.

Rabin, nie przypuscając nic złego, otworzył drzwi i puścił Bartka do środka. Gdy mu Bartek powiedział, poco przysed, a mianowicie, ze chce se pogadać, która wiara lepsiejsa, zgodził się na to rabin, ale pod warunkiem, ze będą gadali na migi.

Bartek jesce wolał na migi, gdyz w gębie nie był tęgi.

Po małej chwili rabin podsedł do Bartka i nie mówiąc słowa, wskazał nań palcem. Bartek, nie chcąc być dłużnym wyciągnął swoją rękę i wystawił dwa palce w kierunku rabina, ten zaś podniósł rękę do góry i wskazał na sufit. Tego Bartkowi było juz za duzo i w jednej chwili broda rabina znalazła się w jego garści, a rozłoscony Bartek włócył rabina po całym pokoju, wreście dał mu kopniaka na pozegnanie i trzasnąwsy drzwiami, wysed z pokoju.

— No i cóześ tam narobił? — zapytali zaniepokojeni jegomość.

— E nic! Rozmawialiśmy trochę o religji i to na migi.

— I cóz? Zrozumiał cię?

— Co nie miał zrozumieć! Nie ino zrozumiał, ale i pocuł.

— Jakzeście rozmawiali?

— E, prosę jegomości — abo to mozna z zydem po ludzku się rozmówić? Podchodzi i pokazuje palcem, ze mi wykole oko, to ja mu pokazałem dwa palce na znak, ze ja mu wydrę oba ślipia. Wtedy on mi pokazuje na hak w powale, ze mnie powiesi. No to ja juz dalej nie cekałem i musiałem się bronić i...

— I zbiłeś go? — zawołali przerazeni jegomość.

— E... bić tom go nie bił, jenom go trochę zeprał...

W tej chwili przybiegł posłaniec, mówiąc, ze rabin prosi na chwilę jegomości do siebie. Jegomość spojrzeli na Bartka i rzekli:

— Tyześ nawarzył piwa, a ja go musę wypić — i pośli do rabina.

Rabin wysed naprzeciw jegomości i powiada:

— Uj, panie ksządz, jaki to mundry ten pański furman!

— Lacego? — zdziwili się jegomość.

— Lacego? Ny ja z nim rozmawiałem o wiarę i to jak? Z palcem, ny tak na migi. Ja jemu pokazuję z palcem, co jego stworzył Pan Bóg, a on mi pokazuje z dwoma palcami, co nas obydwóch Pan Bóg stworzył. Ja jemu pokazuję z palcem do góry, ze Pan Bóg jest w niebie... Uj, jak on mnie wtedy złapał za brodę, to włócył mnie po całym pokoju, pokazując tem, ze Pan Bóg jest na kazdem miejscu Co ja mu miał na to powiedzieć, kiedy prawdę pokazywał.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Afryka IV.

Nie da się zaprzeczyć, że podróż po Afryce środkowej jest nadzwyczaj uciążliwa i bardzo niebez-



Karawana misyjna w Afryce środkowej.

pieczna, a niebezpieczna z różnych powodów. Przedewszystkiem ludność tamtejsza, jak to już zaznaczyliśmy niejednokrotnie, bardzo niechętnie patrzy „na białych", ale zato bardzo chętnie w niektórych okolicach ich pożera. A gdy nawet ludność miejscowa nie jest ludożerczą, ale owszem zachowuje się względnie łagodnie wobec białych, to na podróżnych czyhają najrozmaitsze zwierzęce drapieżniki, które każdą podróż tam uprzyjemniają.

Cywilizowany człowiek tak przed ludożercami, jak i przed zwierzęcymi drapieżnikami zabezpieczyć się może, gorzej jednak jest z tamtejszym klimatem, gdyż jest on dla Europejczyka wprost zabójczy. Szczególniej nad rzekami. W lasach tamtejszych gnije dużo liści z drzew opadłych, gnije padlina zwierzęca, a to wszystko sprzyja w wielkiej mierze rozwojowi zaraźliwych bakcyli, które zatruwają powietrze i wytwarzają najrozliczniejsze choroby. Do nich należy przedewszystkiem żółta febra, od której już wielu Europejczyków śmierć poniosło.

A mimo to podróż po Afryce środkowej jest nadzwyczaj przyjemna, gdyż można tam spotkać rzeczy, których w innych okolicach się nie spotyka. W upalnym bowiem tym klimacie rozwijają się takie rośliny, o jakich my nawet nie mamy pojęcia. Można tam naprzykład napotkać kwiaty wielkości koła od wozu, można napotkać liście roślin, na których może usiąść swobodnie dorosły człowiek, a liść się nawet pod nim nie ugnie, można napotkać i inne okazy świata roślinnego, jakich niema w żadnej części świata. Olbrzymie lasy zaścielają powierzchnię ziemi, a w nich gnieździ się tysiące różnobarwnego ptactwa i mnoży się setki najstraszniejszych drapieżników, całe masy jadowitych wężów i innych stworzeń, których nawet niejednokrotnie najsławniejsi badacze przyrody wcale nie znają.

Na naszym pierwszym obrazku widzimy właśnie taki olbrzymi las afrykański, a w nim, jakby gromadę maleńkich mrówek, karawanę misyjną, złożoną z białych misjonarzy, którzy wybrali się w niebezpieczną podróż, aby tam gdzieś w samem sercu Afryki się osiedlić i nieść słowo Boże dzikiej ludności murzyńskiej.

Na drugim naszym obrazku widzimy dwa jakieś potwory, leżące na ziemi, a obok nich kilku murzynów z ostrymi nożami. Potworami tymi są hippopotamy, zwierzęta, żyjące w głębi Afryki, szczególniej w wodach Nilu.

Hippopotamy są to zwierzęta ssące, niezgrabnej i ociężałej postaci. długości 3 i pół metra, a wysokości na półtora metra. Pokryte są skórą grubą, prawie nagą. Potężny, wałkowaty kadłub wspiera się na niskich, grubych nogach czteropalcowych; palce są zaopatrzone w kopytka. Żyją w wodach dorzecza Nilu, na ląd wychodzi w nocy, spasając rośliny nadbrzeżne, przez co robi czasem znaczne szkody. Polują dlań dla mięsa, tłuszczu i nader grubej skóry, która jest przydatna na rozmaite wyroby.

Otóż dwa takie olbrzymy upolowali murzyni, wywlekli je na brzeg rzeki, aby tu ściągnąć z nich skórę, poćwiartować na pożywienie, a skórę sprze-



Polowanie na hippopotama.

dać Europejczykom, którzy ją bardzo chętnie kupują. Wszystkie odpadki, jak również i wnętrzności powrzucają czarni myśliwi z powrotem do wody, aby tam stały się pożywieniem licznych ryb rzecznych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Franciszek Hornik (E. Wrzos)

DZIWY ŻYCIA

Niesamowita powieść

(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

Sztuczne oddechanie okazało się bezskuteczne; nie tliła w niej ani iskierka życia. Zaprzestał dalszych prób. Ułożywszy ręce wzdłuż ciała ukląkł obok, nachylił się, rozdarł na piersiach sukienkę razem z bielizną. Łatwo to poszło, świadcząc o długiem moknięciu szat. Wyjrzało białe ciało. Rozsuwając rozdarte szaty, aby posłuchać czy serce nie zdradzi żywotności dojrzał coś, co go znowu zastanowiło. Pod lewą piersią znajdowała się rana. Takie bowiem w pierwszej chwili odniósł wrażenie. Baczniejsza obserwacja usunęła podejrzenie. Nie była to rana, ale blizna trzechcentymetrowej średnicy z lejkowatem środkiem. Barwa blizny, wybitnie krwawa łudziła oczy jakoby w tem miejscu niedawno zadano cios. Najciekawszem jednak było, iż po podniesieniu lekko opadłej piersi znalazł nad nią wytatuowane litery dziwnie ze sobą splątane. Jak skonstatował, nakłuto je niezwykle misternie i zabarwiono zielonym płynem.

Zagadki tej, chociaż go niezwykle zaintrygowała, nie chciał na razie bliżej badać. Zauważył bowiem wielkie zaciekawienie na twarzach otaczających go zwartym kołem — i to go zmusiło do zasłonięcia odkrytej piersi. Nachylił się, przytknął ucho do ciała i dłuższy czas słuchał. Cisnący się wokół jakby na wezwanie ucichli. Nie dosłyszał najmniejszych uderzeń serca i z całym pewnikiem stwierdził, że nie żyła.

A przecież ciało nie przybrało dotąd trupiego wyglądu i nie zatraciło żywotnej elastyczności — przyszło mu na myśl.

Od dalszych obserwacyj oderwał go turkot nadjeżdżającego pędem wozu i krzyki policjantów:

— Rozstąpić się...

Pod naporem koni tłum musiał zrobić miejsce dla przybyłych. Z wozu zeskoczył komisarz z dwoma policjantami. Obok topielicy położono nosze. Zobaczywszy lekarza Brutanka, powitał go silnem uściśnieniem dłoni i zapytał o wynik badania.

— Nieżywa — odrzekł. Patrz pan jednak. Ciało zachowało dotąd wygląd żywotny i to długo mię łudziło, że zdołam ją uratować...

— Zróbcie panowie trochę przestrzeniej — zwrócił się komisarz do policjantów.

Kiedy jego polecenie wykonano, przystąpił do oględzin zwłok, przeszukania szat i spisania protokołu. Lekarz tymczasem przymknął oczy topielicy, zawarł usta. Twarz nabrała przez to milszego wyglądu. Poszedł jeszcze dalej, zwichrzone włosy przygładził, a następnie bez przerwy przypatrywał się leżącej. Wydawało mu się, że go zachwyca i czaruje. Po dłuższej dopiero chwili znalazł przyczynę. W kształtach odkrył niespotykany wdzięk. Powodowała go jakaś niezupełność, której źródła nie umiał pojąć, ani określić.

Komisarz tymczasem zdjął kosztowności, oddał policjantowi, a następnie szperał w szatach. Nie znalazł żadnych dokumentów. Na bieliźnie dostrzegł monogram M R czy też R M, bo nie mógł dojść z misternego splotu liter, z wyhaftowaną nad nim koroną hrabiowską. Wyciął go, a podając policjantowi rzekł półgłosem do Brutanka: arystokratka. Zaciekawił się wkońcu dziwną blizną.

— Jak pan sądzi — rzekł wskazując na nią — mamy tu do czynienia z samobójstwem czy morderstwem?

— Obecnie nie można wnioskować — odrzekł. — I mnie wprawdzie uderzył niezwykły kolor blizny — jej wklęsłość w środku — ale to wydaje się być naturalnem. O ile bowiem wezmę pod uwagę wytatuowane nad nią litery — muszę przyznać, że istniała bardzo dawno i zmarła zdawała sobie z niej sprawę. Może jednak, czego obecnie zbadać nie można, użyto jej dla dokonania zbrodni. Przekonamy się przy sekcji.

— Dotąd jednak nie chce mi się wierzyć, że mamy przed sobą trupa — wracał uporczywie do swojej myśli, gdyż oczy zmarłej się ponownie otworzyły i patrzyły mądrze.

— Kiedy utopienie nastąpiło — odrzekł na dalsze pytanie komisarza — z wyglądu ciała osądzić nie mogę. Wygląd szat wskazywałby, iż trup conajmniej dobę moczył się we wodzie.

— Za morderstwem nie przemawia okoliczność znalezienia jej ze wszystkiemi kosztownościami. O gwałcie nie może być również mowy. Sprzeciwia się takiemu przypuszczeniu nienaruszony wygląd bielizny.

— Prawdziwa zagadka — zadecydował komisarz, słuchając jego wywodów — temwięcej, że nie znajduję w niej żadnej znajomej.

— Niezwykła topielica — uzupełnił lekarz.

— Aha, — przypomniał sobie coś komisarz i zwrócił się do ciekawych, których coraz więcej przybywało:

— Czy kto z państwa zna tę panią?

— Nie — nie... odezwały się liczne głosy.

— Kto pierwszy spostrzegł trupa, niech wystąpi do protokołu.

— My... krzyknęły kobiety, które przez cały czas zdołały się utrzymać w pierwszym szeregu ciekawych.

— Gadajcie, jak to było.

Podczas zeznań kobiet, lekarz polecił przeniesienie topielicy na nosze, nakrył ją osobiście, a potem przystąpił do oglądnięcia zaciągniętych już do protokołu kosztowności, pytając komisarza czy pozwala.

Przedewszystkiem wziął do ręki sygnet, który od pierwszej chwili go mitygował. Przekonał się, że miał słuszność. Już zewnętrzny wygląd mówił o jego dziwaczności. Znalazł i niesygnet, lecz górną jego połowę z takąż samą częścią herbu szlacheckiego, wyrytego w czarnym kamieniu. We wnętrzu zobaczył jakieś znaki, które w pierwszej chwili uważał za kabalistyczne. Po dokładniejszem zastanowieniu się skonstatował, że miał do czynienia z górną połową wielkich liter.

Próbował odgadnąć znaczenie — jednak na razie nie mógł, a nadto uważał, że nie znajduje się w miejscu odpowiednim do tego rodzaju badań.

Ułożywszy ręce wzdłuż ciała, ukląkł obok...

Wskazał komisarzowi pytając czy mu pozwoli później obejrzeć.

— Ależ owszem — w każdej chwili — odrzekł.

Inne klejnoty niczem szczególnem się nie odznaczały. Baczniejszą uwagę zwrócił dopiero na medaljon z łańcuszkiem. Miał on kształt koła — ozdobionego z wierzchu koniczynką z drogich szafirów. Szczelnie zamknięty, otworzył się, za pociągnięciem sprężynki. We wnętrzu znajdowało się kółko z kartonu. Wyjąwszy je spostrzegł, że są to dwie złożone fotografje przedstawiające zmarłą. Na odwrotnej stronie jednej odczytał „Paryż — Roża" — drugiej „10 grudnia 1927 — Marta". Podszedł z medaljonem do komisarza, który już zdążył spisać protokół z przesłuchiwanemi kobietami.

— Co o tem można sądzić — zapytał podając mu fotografje.

Po dokładnem oglądnięciu mruknął najpierw: hm... a potem wypowiedział całkiem słuszny wniosek.

— Z pierwszego wejrzenia przypuszczałbym, że fotografje przedstawiają zmarłą. Napis jednak, zamieszczony na odwrotnej stronie, czegoś każe się domyślać. Nie pomylę się, o ile powiem, że mamy do czynienia z dwoma bliźniaczkami — do nierozeznania podobnemi do siebie. Na cóż bowiem umieszczano pamiętną datę i podpisy „Roża — Marta" nie można się również z tem zgodzić, by nosiła dwie swoje fotografje razem złączone.

— Czekaj pan — przyszło mu na myśl. — Z monogramu wyciętego z bielizny dójdziemy, która jest topielicą. Spojrzawszy nań, rożczarował się, stygnąc w zapale. Miał bowiem litery obu imion sióstr.

Zmarłą mogła być albo Roża M., albo Marta R.

— Mimoto odnoszę wrażenie, że łatwo dojdziemy nazwiska zmarłej. Z monogramu wynika, że należała do arystokracji. Dość będzie ogłosić w dziennikach, by się zgłosili zainteresowani rodzice lub krewni. Przedtem spróbujemy popytać letników we willach za Rabą...

— Przecież tam niema jeszcze nikogo? — przekonywał lekarz.

— Może była jedną z przedwczesnych — upierał się komisarz.

— Wątpię — ośmielił się zaprzeczyć.

— I ja mam poważne wątpliwości — potwierdził komisarz łudząc lekarza, że zgadza się z jego zdaniem. Jednakże innego rodzaju — pośpieszył z bliższem wyjaśnieniem — nie wpadłem dotąd na ślad, któryby mi wyjaśnił czy mamy do czynienia z morderstwem czy też samobójstwem.

— Jedźmy jednak do miasta. Tam się namyślę co dalej czynić i wydam podwładnym dyspozycje.

Po włożeniu na wóz „niezwykłej topielicy" — jak ją nazwał lekarz Brutanek — ruszono do miasta przy asyście dosyć znacznego tłumu. Topniał on po drodze i stopniał do kilku przed kostnicą szpitalną, gdzie je wystawiono na widok publiczny. Uczyniono to w nadziei, że ktoś rozpoczna ją wreszcie.

Niemal cała ludność miasta do wieczora przedefilowała przed zwłokami. Bez skutku jednak. Topielica pozostała nieznaną. Policja przez ten czas poszukiwała po obu brzegach rzeki miejsca, z którego została wrzucona, alboteż skoczyła do wody.

Wieczorem lekarz powiatowy miał przystąpić do sekcji zwłok.

Tak oto przedstawiała się sprawa na pozór prosta. W ten sposób określił ją bowiem komisarz policji przekonany, że bardzo łatwo dojdzie indentyczności zmarłej. Starczy, jak twierdził, umieszczenie jej podobizny w dziennikach a zaraz rozwiąże zagadkę.

Wprawdzie dotąd nie mógł określić rodzaju zbrodni — to jednak przypuszczał, że niedługo energiczne dochodzenia naprowadzą go na właściwe ślady.

I może wszystko byłoby dobrze, gdyby... od tej chwili nie nastąpiły jakieś dziwne zjawiska. Niesamowite wydarzenia złączone ściśle ze zmarłą, sprawę nietylko zagmatwały, ale uczyniły wprost niewyjaśnioną. Fakta skojarzyły się w „dziwy życia" dotąd nieznane i niespotykane w codziennem życiu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Prawda i żart.

— A więc chcesz wiedzieć, dlaczego zerwane zostały nasze zaręczyny?... To było tak: działo się to tego dnia, kiedy odbyło się to słynne posiedzenie parlamentu, które trwało przez całą noc. O godzinie dziesiątej zrana wróciłem do domu, wykąpałem się i zasiadłem przy biurku. Na godzinę pierwszą umówiłem się z Helenką. Mieliśmy się udać na spacer, lecz ponieważ zaczął padać deszcz, więc wstąpiliśmy do jakiejś kawiarenki. Helena zamówiła ciastka, ja — koniak. I zaczęliśmy kontynuować naszą rozmowę, przerwaną podczas ostatniego spotkania.

— Wynajmiemy sobie mieszkanie przy ulicy Lipowej — rzekła Helena. — Nasze pokoje będą jasne, szerokie, duże...

Potem zaczęła malować słowami mój pokój. W jednym kącie stanie szeroki tapczan, obok tapczana mały stolik z koniakiem, papierosami i kartami. Na ścianie będą estetyczne półki do książek.

Gdy szczęśliwie dobrnęliśmy do pokoju Heleny, panienka podawała mi już szósty koniak. Chciałem w ten sposób pokonać me zmęczenie i niewyspanie.

— Mój pokój zrobiony będzie w stylu antycznym — mówiła Helenka. — Każdy mebel będzie musiał mieć indywidualny charakter.

Ten temat począł mnie nudzić.

— Obydwa nasze pokoje będzie łączył trzeci pokój, wspólny — ciągnęła dalje. — Prawda, że to bę-

dzie ładnie, gdy zrana rozsuniemy obydwoje drzwi i wyjdziemy sobie na spotkanie w pyjamach?... Na śniadanie będzie zimna — szynka, jajka, herbata, latem — mrożona kawa.

Chciałem przejść na inny temat, lecz Helenka potrząsnęła głową i ciągnęła dalej.

— W kurytarzu postawimy biały wieszak i rozwiesimy na ścianie kilka karykatur.

Zrobiłem skromną uwagę, że moglibyśmy przestać mówić o naszem urządzeniu, albowiem ślub nasz miał się odbyć dopiero za pół roku. Helena umilkła obrażona. Wypiłem jeszcze jeden kieliszek koniaku. Nagle przerwała milczenie. Twarz jej się rozjaśniła.

— Słuchaj, czy chcesz zagrać role starych ludzi?...

Czasem wynajdywaliśmy różne gry. Udawaliśmy naprzykład, że minęło już 20 lat po naszym ślubie i jesteśmy już starem małżeństwem.

— Dobrze, zagrajmy... Niech nam się zdaje, że minęło już od tej chwili dwa lata, że w międzyczasie zerwaliśmy ze sobą i że nie doszło oczywiście do ślubu...

— Doskonale! — zgodziła się. — Więc wyobraźmy sobie, że siedzisz w tym lokalu z inną kobietą, którą kochasz i rozmawiacie o mnie. Dobrze?

— Dobrze. Zaczynamy.

Helena oparła się o poręcz krzesła i zapytała ze zdumioną miną:

— Proszę pana... jak się nazywa ta kobieta, z którą chciał się pan ożenić przed dwoma laty?...

— Helena Kaiser.

— Czy pan ją bardzo kochał?...

Uśmiechnąłem się mimowoli.

— Gdybym ją bardzo kochał, nie siedziałbym teraz z panią!

— Dlaczego, mój Boże... Mogliście się nie zrozumieć... Czy była ładna?

— Ani zbyt ładna, ani zbyt mądra.

— Więc dlaczego ją pan kochał?...

— Powiadam przecież, że jej wcale nie kochałem.

— Ale przecie pan się chciał z nią ożenić!

— Ale się z nią nie ożeniłem. Nasze charaktery nie zgadzały się.

Helena przyjrzała mi się uważniej.

— Dlaczego się nie zgadzały?... Na czem polegała ta różnica?

— Widzi pani, ona mogła godzinami opowiadać o naszem przyszłem mieszkaniu. Widziała już w swej wyobraźni, jak będzie leżała serweta na stole, jaki dywan rozłoży w jadalni. Ale ani razu na myśl jej nie przyszło, jak się ukształtuje nasze życie, jak się będziemy kochali. Nie zapytała ani razu, nad czem pracuję. Z kim miałbym o tem mówić, jeśli nie z nią? Ale to jej nie obchodziło. Była to pusta istota. Przyciągał ją tylko zewnętrzny blichtr. Ona mnie nie kochała, tylko biały wieszak w przedpokoju, moją półkę do książek, mój tapczan.

Helena spojrzała na mnie rozszerzonemi oczyma. Nagle wstała, zapięła palto, wzięła ze stolika swe rękawiczki i rzekła spokojnym napozór głosem:

— Teraz odchodzę. Już mnie pan nie zobaczy. Nigdy. Rozumie pan?... Proszę do mnie nie przychodzić. Niech pan nie próbuje pisać, ani dzwonić!

— Ależ, Helenko... — bąknąłem.

Już jej nie było.

Gdyśmy się potem raz spotkali i chciałem się z nią przywitać, odwróciła głowę.

— Widzi pan jak u kobiet łatwo przejść z żartu do tragedji?... *Stefan Lukacs.*

Spotkanie z dzikiem.



Jednym z wielkich szkodników, żyjących w naszych lasach, jest dzik. Zwierzę to lubi nadzwyczaj ziemniaki, toteż wychodzi za żerem na okoliczne pola, gdzie ryjem swoim rozgrzebuje zagony i wyjada wykopane ziemniaki. Gdyby tylko tyle szkody wyrządził, ile sam zje, ale dzik w swym zapale niszczycielskim rozrzuca ziemię na wszystkie strony, wyrywa rośliny z korzeniami, zjadając tylko niektóre ziemniaki, inne zaś przysypuje ziemią i idzie dalej. Zdarza się, że jeden dzik za jedną noc potrafi zniszczyć gospodarzowi i kilka zagonów ziemniaków. Toteż mieszkańcy wiosek podleśnych, gdzie znajdują się dziki, tępią je w sposób legalny i nielegalny. Właściciele lasów urządzają też na nie polowania, aby nie płacić szkód wyrządzanych przez tych niszczycieli.

Na obrazku naszym widzimy ciekawą scenę z dzikiem. Oto pewien leśniczy natknął się w lesie na dzika. Wymierzył, wypalił i, jak się to często zdarza, chybił. Rozjuszony dzik rzucił się ku niemu. Przerażonemu leśnikowi wypadła strzelba z ręki, nie namyślając się więc wiele, począł uciekać. Dzik za nim. I niewiadomo, coby się było stało, gdyby nie chłopek, rąbiący drzewo w lesie. Ten, widząc leśniczego w niebezpiecznej opresji, a nie będąc i sam bezpieczny, uchwycił w garście siekierę i postanowił na swój sposób rozprawić się z dziką bestją. Musi jednak cios być pewny i śmiertelny, bo inaczej przykra jego godzina. Czy mu się uda, niewiadomo. Czekajmy!...



Poradnik gospodarczy.

Hodowla ryb.

Ryby obecnie staniały. Łatwiej już kupić je na targu, mniej ludzi uważa obecnie ryby za niedostępny przysmak... Stało się to dlatego, że dzięki pracy niektórych organizacyj, uświadamiających gospodarzy rolnych o potrzebie i znaczeniu hodowli ryb w gospodarstwie rolnem, wielu założyło sobie własne stawy, w których hodują ryby. Przeważnie karpie, bo to ryba niewymagająca, wykarmi się byle czem — ziemniakami lub łubinem — i rośnie szybko, dając niemały dochód.

Szczególnie w Wileńszczyźnie i w Małopolsce Wschodniej liczba dziś istniejących gospodarstw stawowych wzrosła od zeszłego roku w dwójnasób. W dawnej Kongresówce tylko pozostała bez zmiany. Jest jednak nadzieja, że i tutaj, na tych ziemiach mazurskich, gdzie tyle znajduje się różnych ugorów i nieużytków, a wielu gospodarzy ma swe grunty w okolicach gliniastych, pełnych jam, w których trzyma się woda przez cały rok, też zaprowadzi gospodarstwa stawowe, gdzie będzie można hodować ryby.

Karp ryba niewybredna... wszędzie się utrzyma. Tacy, którzy się na hodowlach rybnych dobrze znają, mówią, że karp w gospodarstwie, to jakby świnia. Zje wszystkie odpadki i da co roku dobry przyrost. Są też organizacje, dopomagające w zaprowadzeniu dobrego gospodarstwa stawowego. Przysyłają fachowców-instruktorów, którzy dadzą wskazówki, a w razie potrzeby i dopomogą do takiego urządzenia stawów, aby te naprawdę mogły być wykorzystane należycie. Ten rozwój gospodarstw stawowych wróży dobrze. Przedewszystkiem dlatego, że z uprawy zboża gospodarz dużo korzyści nie osiąga. Uprawa zboża opłaca się tylko na dużych obszarach, a drobni rolnicy mogą myśleć o uprawie zboża na swych gruntach tylko dla wyżywienia siebie, swej rodziny no i żywego inwentarza. Korzyść rzeczywistą, to znaczy dochód w gotówce daje przychówek inwentarza, który można sprzedać na targu. A więc trzoda chlewna, drób i wreszcie cielęta, już nie mówiąc o mleku czy jajach, które też stanowią poważne źródło dochodu.

Nie należy więc także zapominać o zakładaniu, gdzie i kto może gospodarstw stawowych, które niedużo wymagają zachodu i pracy, a dochód dają poważny. Przecież do niedawna jeszcze sprowadzaliśmy ryby z zagranicy. Kupcy węgierscy i jugosłowiańscy całemi wagonami przywozili do nas karpie, których my powinniśmy mieć w kraju, aż do zbytku, nietylko na zapotrzebowanie, lecz i na wywóz zagranicę, do tych krajów, które z powodu surowości klimatu nie mogą same hodować ryby na swe potrzeby. Za ryby te płaciliśmy obcym kupcom ciężkie pieniądze zupełnie niepotrzebnie, bo można je było zostawić w kraju.

Nad sprawami temi naradzają się teraz właściwe organizacje. Naradza się i rząd. Niedawno w ministerstwie rolnictwa odbyła się konferencja, w której wzięli udział przedstawiciele organizacyj rybackich, a której przewodniczył pan minister rolnictwa. Na konferencji tej obradowano nad koniecznością obniżenia kosztów przewozu ryby w kraju, udzielania ulg na przewóz paszy dla ryb i uruchomienia specjalnych wagonów dla przewozu ryb w stanie żywym. Rząd i organizacje myślą o tem i działają, trzeba jednak, aby i ci gospodarze, którzy mają grunty odpowiednie do urządzenia stawów, czy też już posiadający stawy nieużytkowane, zabrali się do pracy i rozpoczęli hodowlę ryb, która może dać dobre zyski.

PRAKTYCZNE RADY.

Tuczenie gęsi.

Do tuczenia gęsi czas odpowiedni nie trwa dłużej jak do końca stycznia. Do tuczenia trzeba gęś umieścić w miejscu ciemnem, spokojnem, dobrze słomą wysłanem, a jako karmy używać owsa, do którego co kilka dni dobrze jest dodawać okruchów z węgla drzewnego, a to dla zapobieżenia wytwarzaniu się kwasów w żołądku. W pierwszym okresie tuczenia można dodawać jeszcze trochę ugotowanych ziemniaków, które trzeba rozetrzeć i z mlekiem zsiadłem zarobić na papkę. Czystej wody w korytku nigdy braknąć nie powinno. Po trzech tygodniach gęś powinna być już utuczona. Jeżeli chcemy u gęsi doprowadzić do wyprodukowania wielkiej ilości smalcu, to trzeba przez następne dwa tygodnie napychać gęś kluskami, sporządzonemi z mąki i ziemniaków, zarobionych wodą lub mlekiem, albo napychać ją kukurydzą namoczoną w mleku. Przy takiem żywieniu nie zaszkodzi dodawać nieco soli i od czasu do czasu ząbek czosnku. Do dobrego utuczenia potrzeba 20 litrów kukurydzy lub owsa. Utuczona gęś powinna ważyć 5 do 8 kilogramów.

Jak się obchodzić z pierzem gęsiem.

Po zabiciu gęsi, gdy krew ocieknie, trzeba się zabrać do wyskubania pierza. Najpierw trzeba wyrwać i usunąć wszelkie pióra zanieczyszczone krwią lub zwalane odchodami, gdyż te są powodem, że w pierzu zagnieżdżają się robaki niszczące pierze. Następnie postąpić przy skubaniu tak, by otrzymać 3 gatunki pierza. Najpierw zatem wyrwać pióra długie ze skrzydeł i z twardą w środku stosiną, potem wyskubać pierze z grzbietu i to będzie stanowić drugi, a wkońcu wydrzeć pierze z podbrzusza i nóg, a to jako najlepsze będzie stanowić pierwszy gatunek. Tak wysortowane pierze zebrać do woreczków i wsadzić do pieca piekarskiego, po wyjęciu chleba. Piec ma być tak wychłodzony, żeby pierze wyschło, lecz by się nie przypaliło ani pożółkło. W pierzu niewysuszonem lęgną się łatwo mole. Pierze wysuszone zsypywać do worka większego i zawiesić na strychu.

W porze zimowej, w czasie długich wieczorów, trzeba pierze drzeć, t. j. uwolnić ze stosin. Przy tem darciu koniuszków (chorągiewek) nie odcinać nożyczkami, jakto zwykle praktykują, bo te przedzierają nasypki, a nawet poszewki, i wyłażą na wierzch.

Jak przyzwyczaić gołębie do gołębnika.

Trochę tynku ze starego muru i kawałki zwietrzałej cegły rozkruszyć drobno, dodać do tego soli i anyżu. Z tej masy tworzyć małe kulki lub placuszki, ususzyć je na słońcu lub na piecu i porozkładać w gołębniku.

Gołębie z chęcią dziobać będą z tego i zjadać i zawsze powrócą do gołębnika, gdzie czeka na nie taki przysmak.

KRONIKA.

Do Czytelników. Wszystkim, którzy nadesłali nam życzenia świąteczne i noworoczne, jak najserdeczniej dziękujemy.

Redakcja i Administracja „Roli".

Pogoda w styczniu. Jak przepowiadają, w styczniu będzie przeważnie pogoda chmurna. Do 10 b. m. ma być dość pogodnie i niewielkie mrozy, po 10 nastąpi większe zachmurzenie i silniejsze opady śnieżne, a nawet zadymki. Z początku temperatura utrzyma się około zera stopni, poczem rozpogodzi się i będzie przez kilka dni mróz. Po 20 b. m. znów powróci większe zachmurzenie, możliwe będą deszcze i odwilż. Przy samym końcu miesiąca ma się znów wypogodzić i nastąpi spadek temperatury aż do mrozu. Tak przepowiadają astrologowie, a czy się to sprawdzi, zobaczymy.

Nowe 20-złotówki. W tych dniach ukazały się w obiegu banknoty 20-złotowe nowego typu. Mają one format mniejszy od dotychczasowych i utrzymane są w odmiennych barwach na obu stronach. Jedna strona ma odcień granatowy, druga tęczowy. Ogólnie nowe dwudziestozłotówki przypominają nieco banknoty francuskie.

Kiedy skończy się proces brzeski? Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia rozpoczęli obrońcy b. więźniów brzeskich wygłaszać mowy w ich obronie. Mowy te przeciągły się aż do końca ubiegłego roku. W pierwszych dniach stycznia zabrali ponownie głos prokuratorzy, a następnie poraz drugi obrońcy i niektórzy oskarżeni. Sąd prawdopodobnie rozpocznie narady nad wyrokiem około 10 b. m., co potrwa około tygodnia, poczem nastąpi ogłoszenie wyroku. Według przewidywań, nastąpi to między 15 a 20 stycznia.

Dowcipny złodziej. Do Nowego Targu przyprowadził z okolicznej wsi pewien gospodarz konia na jarmark. Po niedługiej chwili zjawił się kupiec, który stargował konia i chłopu należytość wypłacił. Chłop, odebrawszy pieniądze, odszedł kilkanaście kroków, a widząc leżące drzewo, usiadł na niem celem przeliczenia pieniędzy. Wkrótce przyszedł doń inny chłop i usiadł w tyle za nim i począł pozornie rozbijać kamieniem włoskie orzechy. Sprzedawca owego konia, nie przeczuwając nic złego, liczył dalej pieniądze. Gdy miał 50 złotówkę w jednej ręce, a w drugiej resztę pieniędzy, ten, siedzący z tyłu, wyrwał mu 50 złotówkę i skoczył pomiędzy ludzi, klaszcząc rękami i wołając: „Łapajcie złodzieja!" Poszkodowany chciał również popędzić za złodziejem, ale musiał natychmiast usiąść z powrotem, gdyż okazało się, że ma sukmanę poprzybijaną gwoździami do drzewa. Nim się z tych więzów uwolnił, było już zapóźno, gdyż złodziej znikł dawno w tłumie.

Tragedja rodzinna. W miejscowości Jasieniu, powiatu kałuskiego, rozegrała się tragedja rodzinna, którą ze względu na fatalny zbieg wypadków porównać można ze scenarjuszem filmowym. W miejscowości tej mieszkał od kilku lat gospodarz nazwiskiem Michał Jewczuk, który posiadał odziedziczoną po rodzicach posiadłość. Michał Jewczuk zaliczał się do bardzo solidnych gospodarzy i był w rodzinnej swej wiosce ogólnie lubiany. W marcu z. r. zakochał się Jewczuk w córce swego sąsiada Michała Ławiruka, Annie, i po 6 tygodniach odbył się ślub młodej pary. Anna miała narzeczonego, który w poszukiwaniu pracy wyemigrował do Argentyny i od dłuższego czasu nie dawał o sobie znaku życia. Współżycie młodych małżonków było zupełnie dobre i w zgodzie żyli przez okres kilku miesięcy. Aż nagle z końcem ubiegłego miesiąca niespodziewanie przyjechał do Jasienia dawny adorator Anny, który w niespełna kilkunastu miesiącach dorobił się znacznej fortuny i wrócił do rodzinnej wsi, by pobrać się z ukochaną. Spotkało go jednak rozczarowanie, gdy dowiedział się, że ukochana przez niego kobieta wyszła za innego. Josyp Szurowski począł tedy namawiać Annę, by ta porzuciła swego męża i uciekła z nim do Argentyny, gdzie pobiorą się i rozpoczną nowe życie. Anna z początku nie chciała o tem słyszeć, lecz po kilku dniach zgodziła się na plan swego eks-narzeczonego. Całą tę rozmowę podsłuchała sąsiadka Jewczuka i opowiedziała mu o zamiarze jego żony. Jewczuk udał się do Szurowskiego, wyjawił mu, że zna jego zamiary i prosił go, by nie rozbijał ogniska domowego. Szurowski jednak cynicznie oświadczył, że zrobi, co mu się podoba. Wracając do domu, Jewczuk spadł z mostu do rzeki i ze strachu stracił słuch i mowę; resztkami sił wydostał się z potoka, lecz na brzegu zemdlał. Tej samej nocy Anna i Josyp Szurowski uciekli z Jasienia w niewiadomym kierunku. Rano wieśniacy znaleźli Jewczuka nad brzegiem zupełnie skostniałego. Przywieziono go do domu, gdzie nie zastał już swej żony. Wieczorem Jawczuk wydalił się z domu i zniknął. W wigilję Bożego Narodzenia wyłowiono zniekształcone zwłoki nieznanego mężczyzny, które, jak okoliczni mieszkańcy przypuszczają, są podobne do Jewczuka.

Zemsta wzgardzonego amanta. W mieszkaniu niejakich Michalskich w Łodzi rozegrała się niezwykła scena zemsty narzeczonego, której ofiarą padła 23-letnia Zofja Michalska. Przed ośmiu miesiącami poznała ona 25-letniego Alfonsa Bertholda, który oświadczył się o jej rękę i często bywał w domu rodziców, uważając pannę za swą narzeczoną. Ta jednak odnosiła się dość obojętnie do niego, nie gardząc innymi konkurentami. Doprowadziło to Bertholda do takiej rozpaczy; że postanowił zemścić się na dziewczynie. W niedzielę rano udał się on do jej mieszkania w chwili, gdy leżała jeszcze w łóżku, chwycił ją gwałtownie za ręce, poczem odgryzł jej nos. Rozległ się okropny jęk. Gdy Michalscy wpadli do pokoju, znaleźli córkę okrutnie okaleczoną. Do ciężko rannej wezwano pogotowie, które przewiozło ją do szpitala. Wkrótce ujęto mściwego amanta, który w międzyczasie zbiegł. W komisarjacie zeznał on, że kochał Michalską, był o nią zazdrosny i dlatego widząc, że nie zdoła pozyskać jej względów, postanowił ją oszpecić. Okrutnika osadzono w więzieniu.

Książę i wędliniarka. O wesołem zdarzeniu donoszą z Sosnowca. A mianowicie o rękę panny Zosi, córki bogatego wędliniarza starał się przystojny, ale niezamożny młodzieniec Wasyl Z. Panna Zosia oświadczyła mu jednak, że to nie ma najmniejszego sensu, dodając, iż nie dla psa kiełbasa. I zdawało się, że na tem koniec. Stało się jednak inaczej. Pewnego dnia siostra Wasyla zaprosiła do siebie panne Zosię. W czasie wizyty gospodyni domu wyszła na chwilę do kuchni, a wówczas panna Zosia spostrzegła na stole jakiś list. Zaciekawiona zaczęła go czytać, a zdumienie jej nie miało granic. Czyta bowiem: „Synu mój! Tepier tolko ja mogu objawit Tiebie, czto ty nie Wasyl Z., a kniaź Wasyl Iwanowicz Nalibakow". Panna Zosia czyta a litery latają jej przed oczyma, bo oto z dalszych słów listu dowiaduje się, że pogardzony przez nią Wasyl posiada 30 tysięcy dziesięcin ziemi ornej, 76 tysięcy lasu, 19 tysięcy pastwisk, wspaniały zamek w pobliżu Kazania i t. d. i t. d. Panna Zosia czyta a w sercu jej w miarę czytania poczyna się rodzić miłość ku trochę wykolejonemu ale tak nadzwyczaj skromnemu księciu, który nawet do swoich olbrzymich bogactw się nie przyznał. Miłość panny Zosi z każdą literą listu coraz więcej się

potęguje. Wreszcie oszołomiona panienka postanawia zerwać z bogatym rzeźnikiem, za którego miała wkrótce wyjść za mąż, a powrócić do wzgardzonego księcia, Wasyla... Nalibakowa. I wyszła za niego. Po ślubie jednak okazało się, że Wasyl nie był wcale księciem, a list był tylko umyślnie przez niego samego napisanym i podrzuconym, aby go sobie panna Zosia przeczytała. Dowiedziała się o tem zapóźno i wówczas mało jej „szlag nie trafił" z rozpaczy, że się tak dała wziąć na kawał. Zrobiła mężowi straszną awanturę i... wyrzuciła go z domu.

Ofiara „lekarza cudotwórcy". Oddawna znany był w Poznańskiem, jako „lekarz cudotwórca", niejaki Ludwik Jenkowski, zamieszkały w Rawiczu. Jenkowski gardził medycyną naukową, której zresztą nie znał, a leczył swoją własną, nowoczesną i wielce oryginalną" metodą. Niewiadomo, czy mimo to, czy właśnie dlatego, cieszył się wielką popularnością i ludzie zjeżdżali z daleka do Rawicza, aby korzystać z jego usług i porad lekarskich. Tak też uczynił niejaki Józef Paust, gospodarz ze wsi Sędziny, który już długo chorował na gruźlicę płuc i kości. „Pan doktór" przedewszystkiem chorego należycie opukał. Po tej pukaninie oświadczył, że „wszystko się zrobi" i że „wyleczenie chorego jest kwestją kilku godzin". Następnie kazał przygotować gorącą kąpiel, do której wsypał nieco siarki i jakiegoś lekarstwa o bliżej nieznanym charakterze. Do tej cudownej kąpieli włożono chorego i przykryto go kocami. Gdy po upływie pół godziny zajrzano do pacjenta, ten był już bez przytomności. Wyjęto go z wody i ułożono w łóżku, gdzie chory niebawem zasnął snem wiecznym. Sekcja zwłok wykazała udar serca z powodu zbyt gorącej kąpieli. „Cudownego lekarza" oddano sądowi do ukarania, tu jednak okazało się, że jest on niespełna rozumu, wskutek czego odesłano go do zakładu umysłowo chorych.

Wymordowanie całej rodziny. We wsi Świniowo, powiatu brzeskiege na Polesiu, wymordowana została rodzina Karoluków, składająca się z 4 osób, a mianowicie Pawła Karoluka, jego żony oraz dwojga nieletnich dzieci. Dla zatarcia śladów zbrodni mordercy podpalili zabudowania Karoluków, lecz zwłoki nie spłonęły, gdyż zdołano je wynieść w porę z płonącego domu. Natychmiast przeprowadzone dochodzenia wykazały, że zbrodni tej dopuścili się bracia Stefan i Aleksander Krawczukowie oraz Michał Dunar, mieszkańcy tejże wsi. Jako powód mordercy podali zemstę za to, że Karoluk doniósł gajowemu o popełnianych przez nich kradzieżach leśnych. Czynu tego zbrodniarze dokonali o północy, po steroryzowaniu rodziny strzelbą Stefan Krawczuk i Dudar uderzeniami siekiery pozbawili ich przytomności, poczem dobili nożami. Mordercy staną przed sądem doraźnym, który za takie zbrodnie karze tylko karą śmierci.

Zatrucie wódką. Z Bydgoszczy donoszą: W czasie stypy pogrzebowej u zamieszkałego we wsi Janowicze Stefana Kędzierskiego, 7 osób po wypiciu wódki nagle zachorowało z objawami silnego zatrucia. Trzy osoby przewieziono w stanie beznadziejnym do szpitala. Jak ustaliły dochodzenia policyjne, zatrucie nastąpiło wskutek wypicia likieru sporządzonego ze spirytusu skażonego. Powiadomiona o wypadku lotna brygada kontroli skarbowej wykryła potajemną fabrykę likierów ze skażonego spirytusu w mieszkaniu niejakiej Wiktorji Wzgardy, gdzie znaleziono nowocześnie urządzony aparat sterylizacyjny i inne instalacje, służące do sporządzania likierów oraz 200 litrów gotowego już likieru. Potajemną fabrykę opieczętowano, zaś Wiktorję Wzgardę osadzono w więzieniu.

Zastrzelenie niebezpiecznego bandyty. W gospodzie Krola w Kieleczce pod Toszkiem (pow. Gliwicki), rozegrała sie niezwykle krwawa tragedja. Żandarm Pietrzyk z Wielowsi, przeprowadzał w tym lokalu dochodzenie w sprawie pewnego napadu rabunkowego. Gdy wchodził do gospody, córka gospodarza, obsługująca bufet, ostrzegła go znakami, wskazując na pewnego mężczyznę, który siedział obok w pokoju. Żandarm przygotował broń, wszedł do pokoju, gdzie siedział podejrzany osobnik i zażądał wylegitymowania się. Na wezwanie ów nieznajomy wyciągnął plik papierów i przedłożył je policjantowi, któremu wydało się rzeczą podejrzaną że na przedłożonej mu karcie inwalidzkiej, nazwisko było wycierane. Spostrzegł to nieznajomy i błyskawicznie sięgnął do kieszeni. wydobył rewolwer, odskoczył od żandarma na dwa kroki i wystrzelił do niego trzykrotnie. W tym samym momencie strzelił również żandarm, trafiając nieznajomego raz w pierś, drugi raz w ramię. Żandarm ugodzony został dwa razy w brodę i raz w ramię. Następnie między strzelającymi i już ciężko rannymi wywiązała się walka ręczna, przyczem żandarm wytrącił bandycie broń z ręki. Bandyta zmarł wskutek wewnętrznego krwotoku. Rany żandarma nie są niebezpieczne. Przy zabitym znaleziono inwalidzkie karty ubezpieczeń na nazwisko Foit. Miał on przy sobie 14 kluczy, wytrych, szereg fotografij, 236 mk., notes i browning z nabojami. Przybył on do lokalu na rowerze. Z listów wynika, że zabity nazywa się Foit i pochodzi z kolonji Zedlitza pod Ostropą, gdzie znany był jako b. niebezpieczny bandyta. Karany kilkakrotnie, udawał z powodzeniem warjata i przebywał dłuższy czas w zakładzie dla obłąkanych w Toszku i Kluczborku. Z Kluczborka zbiegł 2 listopada i od tego czasu grasował w okolicy, napadając na drogach na przechodniów. Zabity miał zaledwie 28 lat.

Zamachy na pociągi pospieszne. Koło Ołomuńca w Czechach miały miejsce dwa zamachy na pociągi pospieszne. Niewyśledzeni dotychczas sprawcy ułożyli w obydwu wypadkach na torze duży stos kamieni. Zamachy te nie udały się jedynie dzięki przytomności umysłu maszynistów. Zachodzi podejrzenie, że sprawcami są komuniści bezrobotni, którzy w ten sposób mszczą się za niedopuszczenie ich na główny dworzec w Ołomuńcu w czasie ostatnich demonstracyj. Zaznaczyć należy, że minister kolei, który przed kilku dniami miał wyjechać na uroczystości otwarcia nowej linji kolejowej na Słowaczyźnie, wstrzymał swój wyjazd z powodu otrzymania anonimu, ostrzegającego, że na pociąg przygotowywany jest zamach.

Uwięziona w stajni. W małej miejscowości austrjackiej Bergan władze dokonały okropnego odkrycia. Wskutek przypadku wyszło na jaw, że zastępca wójta, Loicht, od dziesięciu lat więził córkę, która uchodziła za zmarłą, a ukończyła już teraz 17 lat. Przed miesiącem schwytano Loichta na kłusownictwie. Żandarm odebrał mu karabin i zdeponował go w kancelarji gminnej. Wkrótce jednak karabin znikł. Podejrzenie padło na właściciela broni, ponieważ nikt inny nie miał dostępu do kancelarji. Komendant posterunku żandarmerji polecił wobec tego przeszukać zagrodę Loichta. Kiedy wydelegowany funkcjonarjusz udał się do wieśniaka i zażądał wydania karabinu, spotkał się ze wzruszeniem ramionami. Przeszukał więc dom mieszkalny i budynki gospodarza. Znalazłszy się w pobliżu stajni, usłyszał nagle dziwny głos. Podszedł więc do przepierzenia z desek, a po zerwaniu go ujrzał straszny obraz. Na wilgotnym barłogu słomianym leżała w łachmanach dziewczyna, której twarz i głowa czyniła wrażenie kościotrupa. Dziewczyna była umysłowo chora. Nieludzki ojciec roz-

głosił, że zmarła, a sam wtrącił ją do stajni i więził własne dziecko przez 10 lat. Nieszczęśliwe stworzenie nie umie chodzić, ani mówić, bełkocąc tylko kilka słów. Zabrano je do zakładu dla obłąkanych a ojca aresztowano.

Chłopiec zastrzelił djabła. Kiedy w leśniczówce Mutscheid w Niemczech zostało w domu tylko dwoje dzieci, 9 letnia dziewczynka i 11-letni chłopczyk zawitał tam niespodziewany gość, który oświadczył, że jest djabłem i żąda wydania mu pieniędzy. Dziewczynka p - słusznie zaprowadziła przybysza do drugiej izby, pokazału mu szufladę, w której bywają przechowywane pieniądze i bojąc się „djabła" wysunęła się - z izby. Przy pomocy narzędzia „djabeł" szufladę otworzył i zabrał z niej 300 marek, uzyskane za sprzedane bydło.



W chwili, gdy rzekomy djabeł kończył swoją złodziejską robotę, wyszedł z pierwszej izby chłopiec z karabinem w ręce i zmierzywszy strzelił, kładąc go trupem na miejscu. Chłopiec oświadczył następnie, że pomyślał sobie, iż jeśli to jest djabeł, to wolno mu go zastrzelić. Jak się okazało, rzezimieszkiem był stary robotnik leśny, doskonale poinformowany o tem, co się działo na leśniczówce. Ano, udawał djabła, to też poszedł do piekła prędzej, aniżeli się spodziewał.

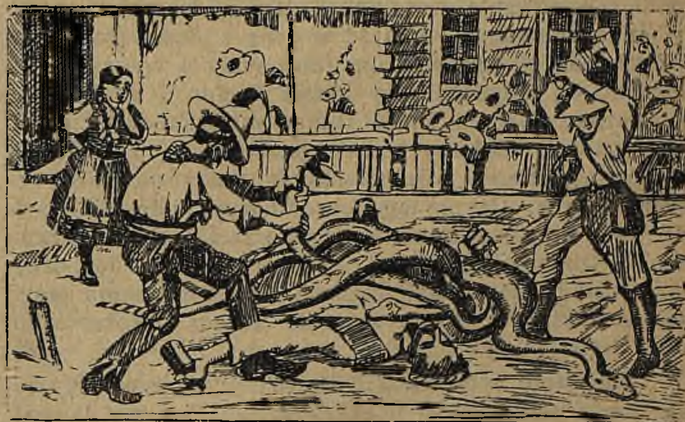
Śmierć dzieci w płonącym wagonie. Bocznica jednego z dworców kolejowych w Kolmarze stała się terenem mrożącego krew w żyłach wypadku. W jednym z wagonów towarowych mieszkała rodzina pewnego kolejarza. W czasie nieobecności rodziców, wskutek silnego rozpalenia p ecyka żelaznego, powstał pożar i z sześciorga dzieci, znajdujących się w wagonie, czworo spłonęło żywcem, piąte zmarło w szpitalu, a najstarsza ciężko poparzona 12 letnia dziewczynka dogorywa. Ojciec dzieci na wieść o ich strasznej śmierci oszalał.

Dwie egzekucje pod gilotyną. Gilotyna w Paryżu nie próżnowała nawet w czasie świąt Bożego Narodzenia. Oto w drugim dniu świąt odbyła się egzekucja 22 letniego młodzieńca, który będąc synem zamożnych rodziców i studentem prawa na uniwersytecie, zamordował dla sensacji jubilera i ciężko zranił jego ekspedjentkę. Tego samego dnia ścięto w Lyonie podoficera 4-go pułku strzelców kolonjalnych, który zamordował kolegę, jego żonę, ciężko ranił żołnierza, poczem sam usiłował pozbawić się życia, strzeliwszy sobie w skroń. Wskutek tej rany morderca później oślepł. — Mimo tego został skazany na karę śmierci i stanął pod gilotyną.

Oryginalny pustelnik. W samotnej, odległej od osad ludzkich miejscowości nad kanałem nantejskim żyje najdziwniejszy w świecie człowiek. Człowiek ten, nazwiskiem Piotr Boudegaine, wygląda jak dziki, ma głowę obrosłą niestrzyżonemi nigdy i nieczesanemi włosami i niestrzyżoną brodą i mieszka od sześciu lat w chacie skleconej z kamieni polnych. Pewnemu dziennikarzowi, który go tam przypadkowo odwiedził, ofiarował kosz świeżo złowionych przez siebie ryb, a gdy ten chciał za nie zapłacić, oświadczył, że pieniędzy nie potrzebuje. Dziennikarz namawiał go, aby wziął pieniądze, by sobie za nie kupić chleba, ten jednak odrzekł, że nie jada ani chleba, ani masła, nie używa soli, a żywi się rybami, które piecze na rozpalonych kamieniach. Wędki plecie sobie z własnych włosów. Piotr Boudegaine ma 49 lat. Podczas wielkiej wojny dostał się do niewoli niemieckiej, potem wrócił do ojczyzny i do rodziny, składającej się z żony i dwojga dzieci. W roku 1925 zdecydował się porzucić świat. Opuścił rodzinę, zapisawszy jej emeryturę i wszystkie swe oszczędności i przez jakiś czas tułał się po Francji. Aby nie być aresztowanym za włóczęgostwo, zbudował sobie wspomnianą wyżej chatę, w której osiadł na stałe. Nie posiada on ani jednego naczynia kuchennego, ani jednego sprzętu. Śpi na macie trzcinowej, którą splótł własnoręcznie.

Porwanie żony miljonera. Amerykańska opinja poruszona jest niebywałą zbrodnią, popełnioną z zimną krwią przez bandytów amerykańskich. Nieznani sprawcy porwali i uprowadzili w biały dzień żonę znanego w Kansas City miljonera Donelly, która odbywała przejażdżkę samochodem w towarzystwie swego szofera, murzyna. Potem zażądali od miljonera tytułem okupu 75.000 dolarów. Jeśli w przeciągu oznaczpnego terminu nie otrzymają tej kwoty, pisali bandyci, wyłupią pani Donelly oczy a szofera zabiją. Na liście znajdował się dopisek pani Donelly, która błagała swego męża, aby zapłacił żądaną kwotę i nie zwracał się do policji. Sama policja jest bezsilna, gdyż w razie interwencji bandyci mogą wykonać swoją groźbę.

Ukarany zazdrośnik. Na niezwykły pomysł wpadł pewien właściciel folwarku w Ameryce, nazwiskiem Stoner, który powodowany zazdrością przed kilku laty kupił cztery węże i przywiązał do skał przy drodze do swego domu. Miały one pełnić służbę straszliwych stróżów wobec mężczyzn, którzy, jak podejrzywał Stoner, zakradali się do żony w czasie jego nieobecności. Człowiek ten przez całych pięć lat trzymał biedną kobietę pod opieką jadowitych gadów.



Małżeństwo to jednak było dawniej szczęśliwe. Stonerowa, oszczędna i pracowita kobieta, troszczyła się o dobytek, nie szczędząc trudów i zabiegów około gospodarstwa. Z czasem dopiero pogodne życie małżonków zamącił jednakże silny pociąg Stonera do wódki. Zrozpaczona kobieta zagroziła mężowi, że porzuci gospodarstwo i uda się pod opiekę rodziny. Stoner mimo to od wiedzał aż nazbyt często szynkownie, a obawiając się istotnie zdrady swej małżonki, postarał się o osobliwych stróżów domu, nie przeczuwając, iż sam upity do nieprzytomności, znajdzie śmierć w splotach wężów. Obrazek nasz przedstawia ten straszny wypadek.

RZECZY CIEKAWE.

Jak można po chmurach poznawać pogodę?

Jeżeli razem ze słońcem wschodzi mała chmura, lub jeżeli wschodzące słońce jest bardzo jaskrawe to zawsze podobno, bywa potem deszcz.

Długie chmury pierzaste oznaczają wiatr z tej strony, w którą zwrócone są swymi ostremi końcami.

Odwilży w zimie spodziewać się należy, gdy na widnokręgu pokazują się czarne chmury.

Ołowiane chmury, czarne lub ogniste chmury zapowiadają wiatr.

Szczególna jest uwaga następująca: Jeżeli mały deszczyk przychodzi na parę godzin przed wschodem sońca, to ustaje on wkrótce i wtedy, przynajmniej do południa jest pogoda, jeżeli zaczyna padać dopiero w parę godzin po wschodzie słońca, to zwykle pada dzień cały.

Jakie szkody wyrządzają myszy.

Naogół nie zdajemy sobie sprawy z tego, jakie szkody w gospodarce narodowej wyrządzają myszy, o ile występują masowo.

Wyliczono, że potomstwo jednej pary myszy polnych wciągu roku mnoży się do 360 sztuk. Ilość zboża, jaką te myszy pożerają w ciągu roku, wynosi 10 centnarów. Według innego obliczenia 520 myszy zjadają tyle, co dorosły człowiek.

Prawie jeszcze większym szkodnikiem, jest mysz domowa. Parka myszy tych w ciągu roku poszczycić się może 480 potomkami. Jeżeli jedna mysz domowa zje w ciągu roku mniejwięcej 1.8 kg. słoniny, to przypada na 480 myszy olbrzymia ilość 17 centnarów. — Z tych cyfr wynika jak olbrzymiemi szkodnikami myszy są dla naszej gospodarki.

Trujące drzewo.

Żaden chemik i genjusz laboratoryjny nie może wytworzyć trucizn o tak niesłychanej sile, jak czyni to natura sama ze siebie. Tak np. istnieją w rzekach południowo-afrykańskich ryby, nie różniące się niczem nawet smakiem od innych jadalnych ryb, których mięso działa absolutnie śmiertelnie. Najwięcej trucizn dostarcza bujna roślinność Indji. Chociażby nawet odrzucić liczne fantastyczne sprawozdania i pominąć indyjską plagę jadowitych wężów, to i tak pozostaje jeszcze pokaźna ilość trujących roślin, tak strasznych, że pozielenieć z zazdrości musi każdy chemik i truciciel. Najstraszniejszym okazem jest malajski „Bohon upas“, którego jad zatruwa na całe kilometry wokoło i zabija każdego, kto się znajdzie w pobliżu. Drzewo to znajduje się na Jawie, w odległości mniej więcej 27 godzin drogi od Batawji. Otoczone jest dokoła wysokiemi górami, cała zaś okolica w promieniu 15 do 18 km. w zupełności zamarła. Nie rośnie tam żadne drzewo, ani roślina, czy krzak. Tu wysyłają skazańców, którzy przynosić muszą z drzewa truciznę, używaną do zatrucia strzał, sprzedawaną także daleko poza obrębem wyspy. Trucizna przesiąka z pod kory drzewa i jest czemś w rodzaju kamfory.

Rzadko stamtąd ktoś wraca, toteż posyła się tam zbrodniarzy, skazanych na śmierć. Skazańca zapytuje sędzia, co woli, czy umrzeć z ręki kata, czy przynieść trucizny z drzewa upas. Zazwyczaj wybiera skazaniec to ostatnie. Wręczają mu przeto srebrną albo szylkretową puszkę i pouczają, jak się ma zachowywać w czasie niebezpiecznej wyprawy. Między inemi zalecają mu, aby stale kierował się wedle wiatru, by się mianowicie zbliżał do drzewa przeciw wiatrowi. Nadewszystko należy się spieszyć. Skazańca wysyła w ostateczną drogę pustelnik. Z chwilą, gdy nadchodzi dobry wiatr, naciąga kapłan delikwentowi skórzaną czapkę z szklanemi okularami i skórzane rękawiczki.

Pustelnik ów powiada, że w ciągu 30 lat swej działalności wysłał 700 zbrodniarzy. Zaledwie jeden na 10 wraca. Szczęśliwcy ci opowiadają, że drzewo to rośnie na brzegu potoka, nie jest wysokie, w jego zaś pobliżu rośnie kilka mniejszych. Wokoło znajduje się sporo szkieletów. Drzewo to rośnie w okolicy, która według podania Alkoranu zamieszkaną była przed setkami lat przez ludność gorszą od mieszkańców Sodomy i Gomory. Mahomet zwrócił się do Boga z błaganiem, by wygubił grzeszników, co się stało przy pomocy tego właśnie drzewa, śmierć przynoszącego. Malajczycy uważają to drzewo za uświęcone narzędzie Boga. Może to i prawda. *(Ergo)*

Osobliwości morskie i nadmorskie.

W jednym z zeszłorocznych numerów „Roli“ podaliśmy obrazek ryby latającej. Dziś podajemy podobiznę drugiej takiej ryby, która należy do tak zwa-



nych Ptaszorów (Exocoteus volitans). Posiada ona płetwy dość długie, które rozpostarte umożliwiają jej, że ryba, wyskoczywszy z wody, utrzymuje się w locie przez kilka sekund, chroniąc się w ten sposób przed napaścią delfinów, albikorów i innych rabusiów. Padają one jednak bardzo często ofiarą innego rozbójnika morskiego, jak naprzykład żarłacza-ludojada, który — o dziwo — ma przy sobie świtę niedużych, biało i niebiesko paskowanych rybek, którym żadnej krzywdy nie czyni, gdy innym, nawet drobnym rybkom, nie przepuszcza, połykając je całemi wiadrami.



O ile natura dała niektórym rybom możność latania w powietrzu, to uniemożliwiła je ptakom. Takiego ptaka widzimy właśnie na naszym drugim obrazku. Ptak ten nazywa się alka bezlotna po łacinie Plautus impennis. Żył on do niedawna na wybrzeżach północnego Atlantyku w takich ilościach, że służył na wyżywienie mieszkańców Islandji i Grenlandji. Na wyspach Atlantyku żyje drugi ptak bezlotny, a mianowicie Bezlotek wielki w ogromnych gromadach, który zmieniwszy skrzydła na wiosła, pływa i nurkuje doskonale, układając się napozór w kształt ryby.

Jak widzimy z powyższych opisów, zwierzęta zastosowują po największe części swój wygląd do warunków, wśród których żyją. Z wiekami te części ciała, które im są potrzebniejsze, wydoskonalają się, te zaś, które są im bezużyteczne, zanikają nieraz zupełnie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Na konkurs „Roli“ otrzymaliśmy w dalszym ciągu następujące utwory: „Konkurs „Roli“, Humoreska, albo jak kto woli“, „Obce języki“, „Bez woli“, „Niewdzięczność“, „Ocaleni“, „Za ocean“, „Janek i Zosia“, „Mądry Marcinek“, „Przed operacją“, „Jak Neszka spędziła nocleg“, „Ideał Ryszarda“. — **Kachna Ł. Łza** i **Donat Lesiowski** w S.: List Państwa bardzo mnie zasmucił; może się to jeszcze da jakoś zrobić. Za tak serdeczne słowa uznania bardzo a bardzo dziękuję. — **Kazimiera Bulandówna** w H.: Za miłe słowa listu i życzenia serdecznie dziękuję i przesyłam nawzajem wiele pięknych pozdrowień. — **H. Tadanier** w L.: Wierszyk leży w teczce i czeka na swą kolej. Czy jej doczeka, któż to zgadnie? — **Jan Liwosz** w S.: Nadesłane zagadki dobre, przeznaczamy je więc do druku. — **Jacek Orlik** w S.: Z nadesłanych prac w miarę miejsca skorzystamy. — **Ludwik Krzempek** w Z.: List Pański przeczytaliśmy z prawdziwą przyjemnością. Gdyby wszyscy robotnicy tak myśleli i czuli, jak Pan, byłoby lepiej na świecie. Niestety, dziś zgubne hasła rozszerzają się coraz bardziej, a to tylko wyjść musi na szkodę ludu pracującego. Za słowa uznania serdecznie dziękujemy i przesyłamy bardzo piękne pozdrowienia. — **Józef Takusiński** w S.: Gdzieby można kupić blat do warsztatu tkackiego, nie mogliśmy się dowiedzieć. Może ktoś na podstawie tej notatki zawiadomi nas o tem, tobyśmy wówczas natychmiast Panu donieśli. Za wiadomość dziękujemy, jest w numerze. — **Władysław Furmanek** w R.: „Strach“, jako wesoły żarcik, zamieścimy. — **Karol Sowiński** w N.: W sprawie tej zwróciliśmy się do p. Juljana Piwowarskiego, znanego hodowcy pszczół i spodziewamy się, że wkrótce nadeśle nam artykulik o rasach pszczół, który zamieścimy w „Roli“. Pan Piwowarski posiada pasiekę doświadczalną, w której hoduje kilka gatunków pszczół, jak również matki różnych ras na sprzedaż. W rozmowie ze mną zachwalał najbardziej pszczoły rasy kaukazkiej, które zbierają miód z czerwonej koniczyny. W ubiegłym roku przywiozłem od niego jedną matkę tej rasy, ale nic nie mogę jeszcze z własnego doświadczenia o tych pszczołach powiedzieć, gdyż rozwój ich u mnie nastąpił dopiero w sierpniu, a więc po głównym pożytku. P. Piwowarski sprowadził również zeszłego roku pszczoły palestyńskie. Jakie one będą, będzie się można przekonać dopiero w lecie. — **Wojciech Lorenc** w Ł.: Z zagadek skorzystamy. Numer 52 był wysłany razem z innymi. Widocznie komuś się spodobał i przepadł. — **J. Zygmunt** w K.: Wierszyk p. t. „Nowy Rok“ nadszedł już po wydrukowaniu numeru noworocznego. — **Czesław Wośkowski** w F.: Otrzymaliśmy — dziękujemy. — **Jan Czekan** w P.: Prześwietla klinika chirurgiczna w Krakowie, ul. Kopernika. — **Göttel Gabrjel** w L.: Jeżeli konta czekowego w Pradze nie mają, to można przesłać w liście poleconym w koronach czeskich. Jaka cena, nie wiemy. — Cześć! — **Mieczysław Stawarz** w P.: Utwór był przeczytany i o ten koniec się rozchodzi. Z drugim utworem niech się Pan spieszy. Okazowy numer wraz z czekiem wysłaliśmy. Cały rok ma Pan zapłacony i nadto zostaje 8 zł. Za pozdrowienia serdecznie dziękujemy. Cieszy nas, że się Panu teraz lepiej powodzi i życzymy nadal pomyślności. — **Juroszek Jerzy** w J.: Z zamówieniem o słomę owsianą trzeba się zwrócić do Izby handlowej i przemysłowej w Krakowie i trzeba załączyć znaczek na odpowiedź. Znaczków po 25 groszy małych poczta nie przyjmuje. — **Jerzy Gorzołka** w J.: Za wysiłki około jednania prenumeratorów serdecznie dziękujemy. Cieszy nas, że w Pańskiej miejscowości po jednemu przybywa. Stosownie do obietnicy polecamy się. Prenumeratę miał Pan zapłaconą za III i IV kwartał. Wzajemnie pozdrawiamy. — **H. Hanus** w F.: Zapytamy w księgarni i odpowiemy w następnym numerze.

Nowi czytelnicy mogą otrzymać początek powieści „Stłumione echa“ za nadesłaniem 1 zł. w liście znaczkami pocztowymi. (Wyślemy 4 egzemplarze „Roli“).

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Wódz.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Miasto polskie.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Stolica europejska.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Djabeł.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Duchowny.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Książka religijna.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Mała brama.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię męskie (zdrob.).
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.

Litery zamiast kwadracików dadzą imię i nazwisko patrjoty polskiego.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

O! druga trzecia Kaśka głośno wrzeszczy,
Gdy Maciuś nią wywija, aż podłoga trze-
[szczy.
A całość na wesele bez liku zjechały,
A przy nich piękne konie, pierwsze dru-
[gie stały.
Niech cię pół drugiej, wstecz pierwsza
[świśnie myślę sobie,
Niech pierwsi trzeci świecą wrogom, lecz
[nie tobie.

II.

(Ułożył J. K. z P.).

Pierwsze napewno znajdziesz w alfabecie,
Drugie wspak jest to znowu nazwa karty,
Pierwsze drugie to owad, który w lecie
Żyje, a choć mały jednak zażarty.
Pierwsze trzecie są to wierszów rodzaje,
Całość tam zaś, gdzie ludzie są, powstaje.

III.

Pierwsze trzecie drogi bracie,
Prawie w każdej dzisiaj chacie,
Pierwsze kawał też drugiego
Jest to nazwa ducha złego,
Drugie trzecie każdy robi.
Gdy go bolą bardzo nogi.
Całość jest to czas wesoły,
Gdyż są wtedy pełne stoły.

3. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Antoni Sordyl z Z.).

Zuch.
Biedna.
Zapisek.
Imię żeńskie.
Choroba.

4. Łamigłówka.

(Ułożył Józef Kawalec z T.).

O. ..e.a a. .o .ie.a ...y..o ..a.ą ..o.y. ...e.a

W miejsce kropek wstawić spółgłoski i odczytać znane przysłowie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 15 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 51 „Roli“: 1. Uzupełnianka: Marsylja - Amazonka-Limanowa-Tormador-Bachmata-Ramajana-Panorama. 2. Łamigłówka: Człowiek się rodzi do pracy, jak ptak na latanie. 3. Szarady: I. Prenumerator. II. Kokosza. 4. Kwadraty magiczne: I. Rada-Adar-Dama-Arak. II. Nogi-Owoc-Gore-Icek.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Jadwiga Lorencówna z Ł., Teofil Burman z K., Leopold Wołek z Rz., Wojciech Lorenc z Ł., Janina Osuchowska z U., Michał Kwaśnik z L.

Nagrody wylosowali pp.: Janina Osuchowska z U. i Teofil Burman z K.

Znaczenie zagadek z Nru 52 „Roli“: 1. Arytmogryf: F. Kowalczyk. 2. Szarady: I. Fujarka. II. Arab. III. Litera. 3. Kwadrat magiczny: Osa-San-Anu. 4. Bilet wizytowy: Ambasador Austrji.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Kaczmarczyk Antoni z K., Rudolf Bieroński z Cz., Feliks Popielarczyk z S., Dominik Buchała z Z., Adam Bodzenta z Cz., Piotr Nowak z Ż., Wojciech Lorenc z Ł.

Nagrody wylosowali pp.: Adam Bodzenta z Cz. i Antoni Kaczmarczyk z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Stokłosówna w Z.: Drzewka owocowe można sadzić również na wiosnę aż do maja. Rozwijają się wprawdzie później niż sadzone w jesieni, ale niema obawy, aby przechcioł i Franuś posed i zabił się", „Jak to Kuba Groń wybrał się w noc Wigilinją na Pasterkę, aby szukać swej baby, co to kiejś od niego uciekła", „Na straży", „Dobre uczynki Jasia", „Noc kupalna", „Ochrona przyrody". — **Józef Pachołek** w K.: Wierszyk przyszedł zapóźno. — **Jan Micał** w M.: Jeszcze za słabe do druku. — **Karolina** marzły. — **Michał Olawski** w N.: Wszystkie utwory konkursowe, które zostaną wysłane przed 1 stycznia, choćby przyszły do nas po Nowym Roku, zaliczymy do prac

Tygrys i owca.

Do miasteczka przyjechał mały cyrk; główną atrakcją była klatka, w której w zupełnej zgodzie ze sobą żyli tygrys i owca.

— Czy nigdy z sobą nie wojują? — pyta jeden z widzów.

— Bardzo rzadko.

— I co się wtedy dzieje?

— Wtedy kupujemy nową owcę.



Na odpuście podczas kazania.

I czemuż to, kobiecinko, tylko wy jedna nie płaczecie?

— A bo ja nie z ty parafji...



Ani tak, ani tak.

Wstyd doprawdy, żeby taki zdrowy, młody człowiek chodził prosić o pieniądze.

— Cóż zrobić, szanowna pani, wziąłem raz bez proszenia i dostałem ośmnaście miesięcy.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 5 stycznia b. r.

Pszenica	26 50 — 26 75	Słoma długa	7·00 — 7 50
Żyto .	26·25 — 26·50	Ziemniaki stoł.	6·00 — 6·50
Owies . .	25 00 — 25·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00 — 000·00
Jęczmień .	21·00 — 22·00		
Fasola biała	28·00 — 30·00	Mąka żytnia	42·00 — 42·50
Groch zwyk.	29·00 — 31·00	Mąka pszen.	46·00 — 47·00
Siano słodk.	11·00 — 13·00	Otręby pszen.	14·50 — 15·00
Łubin żółty	21·00 — 22·00	Otręby żytnie	15·75 — 16·25
Koniczpastew.	15·00 — 17·00	Mąka czerw.	19·00 — 20·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 5 stycznia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł.
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·00 do 1·20 zł.	Nierogaciznę lżejszej wagi	od 1·40 do 1·50



WIELKĄ OSZCZĘDNOŚCIĄ

dla każdego gospodarstwa jest wypróbowana Praktyczna Książka Kucharska pod tytułem

366 obiadów

ułożona przez Marję Gruszecką, która zawiera praktyczne i oszczędne przepisy do sporządzania tanim sposobem smacznych potraw, ciast, legumin, tortów, soków, likierów, konfitur i t. p. Ponadto Praktyczna Książka Kucharska zawiera cały szereg praktycznych i oszczędnych wskazówek dla każdego gospodarstwa: Jak się obejść z bielizną przy praniu. Sposób tępienia mrówek i robactw drzewnych. Tępienie moli, myszy i innych robactw dokuczliwych. Również zawiera tasama książka cały szereg praktycznych środków leczniczych i innych niezbędnych dla każdej gospodyni wskazówek gospodarskich. — Cena tej książki w wielobarwnej okładce z przesyłką Zł. 3.50. Na przesyłkę poleconą dołączyć 50 groszy. **Do nabycia w Adm. „Roli"**



Dostarcza:
Hamaki, siatki tennisowe. Sprzedaje konopie i kupuje lub zamienia na gotowe wyroby.
Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Na żądanie wysyła cenniki.

Adwokat Dr. D. Bulwa

Kraków, Grodzka 49 II. piętro

powrócił i urzęduje jak dawniej.

„Zemsta cygana"

sztuka w 3-ch aktach ze śpiewami i muzyką, znanego naszym Czytelnikom poety ludowego Roberta Rydza — opuściła prasę i jest do nabycia w księgarni nakładowej A. Cybulskiego w Poznaniu. Sztukę tę polecamy naszym zespołom amatorskim. Cena 6 zł. wraz z utworem muzycznym.

Księgarnie Towarzystwa Szkoły Ludowej

KRAKÓW,
ul. św. Anny 5.
P.K.O. 401.223

LWÓW,
ul. Batorego 32.
P.K.O. 133.222.

polecają następujące wydawnictwa własne:

zł.

1. Album pamiątkowy J. Słowackiego 1.20
2. **Bar A.** Znaczenie książki w rozwoju kultury —.40
3. **Bogatyński Wł.** Kazimierz Pułaski . . . . —.60
4. **Bork.** Hołd pruski . . . —.50
5. **Braun J.** Szopka harcerska 2.40
6. **Bzowski K.** Wykład Konstytucji (wyczerpane)
7. **Chmielewski K.** Katechizm małego obywatela 2.50
8. **Ciechanowska Z.** O Naczelniku Kościuszce . —.50

Nowe wydanie.

9. **Dynowska M.** Nasze rocznice 4.60
10. **Dynowska M.** Jan Kochanowski . . . . . . 1.—
11. **Grabowski H.** Henryk Sienkiewicz . . . . —.50
12. **Grycz J.** Przewodnik dla korzystających z bibljotek . . . . 4.—
13. **Gruszecki A.** Pruski huzar (wyczerpane)
14. **Gruszecki A.** Tatarzy w Sandomierskiem 3.50
15. **Gostkowski R.** Wychowanie fizyczne w starożytności 1.50
16. **Janelli M.** Katechizm obywatelski (wyczerpane)

Nowe wydanie.

17. **Jeż T. T.** Uskoki I., II., III. razem . . . . . 8.—
18. **Konopnicka M.** Z 1835 roku 1.20
19. **Kraszewski J. I.** Rzym za Nerona 4.60
20. **Kutrzeba St.** Polska współczesna 2.80
21. **Leszko I.** Juljusz Słowacki . . . . —.70
22. **Missonowa M.** O J. Słowackim . . . . . . 1.—

Nowość!

23. **Poliszewski M.** Społeczna akcja oświatowo-wychowawcza . . . 3.—
24. **Radzikowski St.** Powstanie chochołowskie . . —.50
25. **Rymar St.** 3 Maja 1791 r. —.30
26. **Rymar St.** Zagadnienia ustawodawstwa w dziedzinie oświaty pozaszk. w Polsce 1.50
27. **Sikora W.** Oświata podstawą dobrobytu . . 40.—
28. **Sikora W.** Siły twórcze Państwa . . . . . . —.40
29. **Sikora W.** Stan szkolnictwa w Polsce . . . —.60
30. **Sikora W.** Znaczenie oświaty . . . . . . —.80
31. **Słomka J.** Pamiętniki włościanina . . . . . 10.—
32. **Sobieski W.** Bolesław Chrobry . . . . . . —.50

Nowość!

33. **Sobieski W.** Historja Polski . . . . 5.—
34. **Świderska M.** Ze wspomnień małej Krzemieńczanki 1.50
35. **Świderska M.** Ostatni Piast na Śląsku . . . 1.—
36. **Świderska M.** Poseł Polski w Carogrodzie . 2.—
37. **Świderska M.** Braniec tatarski 2.50
38. **Świderska M.** Z krwawych dni 1.80
39. **Świderska M.** Dorcia . . 1.80
40. **Świderska M.** Garbuska 2.50
41. **Twarecki L.** Domy Ludowe . . . . —.80
42. **Uhma St.** Społeczna rola warstw oświeconych w Polsce . . . . —.50
43. **Uhma St.** Gospodarcze odrodzenie Polski w epoce Konstytucji 3 Maja . . . . . . —.50
44. **Wysłouchowa M.** Kornel Ujejski . . . . —.50
45. **Wysocki W.** Stanisław Staszic . . . . —.50
46. **Wysocki W.** Konstytucja 3 Maja . . . . . . —.50
47. **Zamorski J.** Ernest Adam . . . . —.50

Księgarnie T. S. L. są centralą zakupów książek dla wszystkich bibljotek.